№ 50 Warszawa, dnia 28 Listopada (10 Grudnia) roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Pod temi samemi co dotąd warunkami, w tym samym formacie, z jedną zawsze illustracyą i z dodatkiem powieściowym, wychodzić będzie **Tygodnik Mód i Powieści** i w roku przyszłym 1882. Upraszamy o wczesne zapisy i dokładne wypisywanie adresów, aby zwłoki i omyłek w odbieraniu Pisma uniknąć.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela dzieci w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

PRZYJACIEL DZIECI.

W przyszłym roku 1882 **Przyjaciel Dzieci** wychodzić będzie w powiększonym formacie ze stałym tygodniowym dodatkiem półarkuszowym dla mniejszych dzieci, i z illustracyą o ile można jak najstaranniej rozwiniętą. Dążność jednak główna pisma, miłej i pożytecznej zabawy, w niczem nie ulegnie zmianie i na szczególnem zawsze będzie baczeniu. W każdym numerze obok innych artykułów mieścić się będą: gawędy naukowe w różnorodnych przedmiotach wiedzy ludzkiej, obrazy historyczne, powieść obszerniejszych rozmiarów, wiersze, powiastki, wierszyki, szarady, łamigłówki i zadania arytmetyczne, a od czasu do czasu dawane będą komedyjki i dramata, oraz podróże i wiadomości z dziedziny wynalazków.

Z prac większego rozmiaru, mamy już przygotowane dwa opowiadania historyczne: *Wyprawa Henryka V na ziemie Bolesława Krzywoustego* i *Opowiadanie z wieku XII o Matusie i Pawliku z Kołoboża.* Po ukończeniu powieści obecnie drukującej się, rozpoczniemy zaraz oryginalnie napisaną p. t. *Elżunia Bohoni* z czasów Maryi Teresy i *Tajemnice oceanu.* Skutkiem tych zmian i ulepszeń cena prenumeracyjna powiększoną zostaje kwartalnie o kop. 25 i wynosić będzie:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . .	**rs. 1 k. 25.**
Półrocznie . . .	**rs. 2 k. 50.**
Rocznie	**rs. 5.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, redaktora Przyjaciela dzieci i Tygodnika Mód i Powieści w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

PESTALOZZI

jako

człowiek i pedagog.

Skreślił

Wiktor Czajewski.

Pani HELENIE KOBIERZYCKIEJ
te kartki składam.

Działaj podług takiej zasady, którąbyś mógł, gdybyś był prawodawcą powszechnym, ogłosić za prawo wszystkich stworzeń rozumnych.

Kant. «Zasady metafizyczne». — Ks. I, rozdz. I.

Wobec coraz szerszego zainteresowania się naszego ogółu kwestyą wychowawczą, uznajemy za obowiązek rozjaśnić chociaż niewielką część nowej, tak zwanej metody poglądowej, której, jednym ze starszych przedstawicieli, był Jan Henryk Pestalozzi.

Uznajemy za potrzebne tem więcej, że nowa ta metoda stała się w ostatnich czasach, szczególniej w Warszawie, bardzo głośną i dotąd jak i nadal niezawodnie interesującą ogół, chociaż większa część naszego społeczeństwa, o usiłowaniach poczynionych w tym kierunku, ledwie ze słabych odgłosów echa dziennikarskiego była poinformowaną.

Nie możemy posądzać też naszego ogółu o brak chęci czytania, ani też o brak chęci zaczerpnięcia z innych źródeł wiadomości pedagogicznych, zwłaszcza tak zwanej metody poglądowej, tembardziej, że nie każdemu interesa pozwalają zamieszkiwać w stolicy polskiej, a zatem niekażdy mógł korzystać z odczytów pedagogicznych p. Dygasińskiego.

A jednak wychowania nie można zasypiać, bo coraz więcej przybywa nam młodych pokoleń wzrastających pod opieką starszych, którzy wychowują je tak, jak nas dotąd wychowywano.

A przecież byłoby można dać jakąś maleńką książeczkę, dostępną nietylko dla nauczycielek, ale nawet i dla matek, tak, żeby z niej korzystali wszyscy (mówię tu o historyi pedagogiki).

Zwłaszcza przy dzisiejszym stanie szkółek elementarnych, książeczka taka jest bardzo potrzebną—gdyż jedynie matka pozostaje pierwszą nauczycielką moralnego i umysłowego rozwoju dziecka, a wpojone przez nią zasady, mają mu starczyć już na całe życie.

Uwzględniwszy to wszystko, cośmy tu na wstępie powiedzieli, pragnąc ułatwić naszem czytelniczkom sposób nauczania i wychowywania dziecka metodą poglądową, przedstawiamy tu usiłowania jednego z najbieglejszych pedagogów, człowieka niepospolitych zasług na tem polu, pełnego poświęcenia i pracy — Jana Hernyka Pestalozzego.

Henryk, syn Jana Chrzciciela Pestalozzego medyko-chirurga, urodził się w Zurichu dnia 12 stycznia 1746 r.

W czwartym lub piątym roku postradał ojca i pozostawał tylko na wychowaniu swej matki, która wszelkich dokładała starań, aby synowi dać jak najlepsze wykształcenie.

Ukończywszy nauki niższe, młody Jan Henryk Pestalozzi zapisał się na wydział prawny.

Żywy jednak charakter i świeża wyobraźnia niekoniecznie wpływały dobrze na prowadzenie systematyczne raz obranego przedmiotu. Zniechęcony prawem, w rok niespełna przeniósł się na teologią.

Ale i tu niedługo pozostawał.

Po przeczytaniu jednej z rozpraw Jana Jakóba Rousseau nabrał chęci do rolnictwa.

Porzucił więc zakłady naukowe i przeniósł się na wieś.

Oto pierwsza historya spędzanych chwil młodzieńczych Jana Henryka Pestalozzego — oto początek i przyczyna zawodu pedagogicznego, w którym potem całe swoje życie przepędził.

Oddawszy się rolnictwu, młody zaledwie 17-toletni chłopiec, zamieszkał w majątku swojego ojca — Neuchof, niedaleko Lentzburga.

Zetknięcie się bliższe z biednymi wieśniakami, dało mu poznać straszne zaniedbanie w wychowaniu dzieci.

Patrzył on na to z boleścią i niejednokrotnie myślał, ileby to można przysporzyć materyału dla kraju i nauki, a nawet dla samego postępu przez dobre wychowanie tych dzieci, z których przy nędzy wyrastali ludzie nietylko że niepożyteczni dla społeczeństwa, ale jeszcze najczęściej stający mu się ciężarem lub zakałą.

Przy dobrych myślach rozbudziła się chęć podźwignięcia tych ludzi z upadku i dania im jakiejkolwiek rękojmi do zajęcia odpowiedniego stanowiska w naszem ustroju społecznym.

Działo się to *właśnie* w tej epoce kiedy wolność myślenia, patryotyzm i nauki w największej świetności panowały w Zurichu.

Młody Pestalozzi pracował usilnie wraz z Bodmerem, Breitinguerem i Steinbüchel'em nad rozbudzeniem tego ruchu w szerszem kole społecznem, pragnąc lud wieśniaczy i niższe klasy wciągnąć i oświecić, przelewając w nie to pojęcie, które zapewniało Szwajcaryi silne stanowisko polityczne i świetny interes wewnętrzny.

Usiłowania jednak nie posuwały się zbyt świetnie, nie z braku propagandy, lecz z powodu niskiego stanu oświaty. Widząc Pestalozzi takie trudności, wybrał sobie zupełnie inną drogę i nią podążał do celu:

Oto w roku 1775, a zatem w dwudziestym siódmym życia swego, rozpoczął on pierwszą swoją działalność na polu pedagogicznem, zbierając z okolicy wszystkie dzieci niezamożnych kmiotków i żebraków z których uorganizował pierwszą swoją szkółkę.

I cóżby jeszcze dziś powiedziano na takie wybryki fantazyi?

Tembardziej dawniej! Nietylko, że urągano i szydzono z uczciwych zamiarów i dążności, ale nawet ogłoszono go waryatem, a co najmniej nazwanym i... znikąd nie udzielano pomocy, podczas gdy Pestalozzi tak pisał do swojego przyjaciela Gessnera:

„Żyłem tak lat kilka w pośród więcej niż pięćdziesięciu dzieci, których rodzice byli bardziej niż w ostatniej nędzy; w ubóstwie mojem dzieliłem się moim chlebem; żyłem sam, jak żebrak, aby żebraków nauczyć żyć, jak ludzie. Wyobrażenia moje o oświeceniu, które im dać chciałem, obejmowały: rolnictwo, rękodzieła i handel; byłem najlepiej przekonany o moim układzie, i teraz jeszcze nie widzę się w nim omylonym; ale, co niemniej jest prawdą, brakło mi szczegółowych wiadomości w tych trzech gałęziach i dowcipu, umiejącego się zagłębiać w drobnostki im właświwe. Przytem byłem ubogi i nie szczędziłem bogacić się w to, co mi brakło. Plan mój upadł, ale wśród tych usiłowań nauczyłem się prawd niezliczonych i nigdy nie byłem mocniej przekonany o dobroci mojego zamiaru jak wtenczas, kiedy zmuszony zostałem go opuścić."

Pierwszy więc zakład Pestalozzego i jego najszlachetniejsze zamiary upadły nie znalazłszy żadnego poparcia u społeczeństwa, dla którego pracował.

Z wielkim żalem zwinął ową szkołę, jednakże pracując nie przestał myśleć o podźwignięciu oświaty u ludu, starając się wszelkiemi siłami dać im jakiekolwiek sposoby ku temu.

Odtąd posypał się szereg książeczek pedagogicznych, z niezwykłą przystępną wykładową metodą napisanych, z których w naszym poglądzie pierwsze miejsca zabierze *„Książeczka dla matek"* (Buch für Mütter, Lipsk 1803 r.) (¹)

Książeczka ta wyszła w dwóch odmiennych kształtach .Pierwsza, wcześniejsza, dzieliła się na *dziesięć ćwiczeń*; druga, późniejsza, *na pięć części*. Obydwie książeczki były pisane w tym celu, aby przedstawić najprzystępniejszą metodę do wychowania i wykształcenia dziecka.

Oto, chcąc choć w części ułatwić korzystanie z długoletnich studyów Pestalozzego naszym czytelniczkom — rozpatrzymy te dwie książeczki.

Młody pedagog porzucił wszystkie dotychczasowe systemy nauczania i poszedł prawie oryginalną drogą, którą przedstawia nam w swoich książeczkach.

Za podstawę całego rozwoju dziecka obrał dar spostrzegawczy, wrodzony każdemu człowiekowi.

Idzie więc mu o to, aby skorzystać z tego i rozwinąć ten do samodzielności, gdyż potem już, w dalszem życiu, nietylko, że rozwija się sam niesłychanie łatwo, ale nawet potęguje z niepojętą szybkością.

A cóż to jest dar spostrzegawczy?

Oto dziecię skoro oczy otworzy, zaczyna widzić masę przedmiotów bądźto ruchomych, bądź nieruchowych około siebie. Przedmioty te początkowo nie obchodzą go wcale, jednakże po pewnym przeciągu czasu zaczyna ono rozróżniać bliższe mu przedmioty — a najpierw niezawodnie matkę, jako jego pożywicielkę.

To poznanie jest właśnie następstwem daru spostrzegawczego (*intuition, l'intuision*); na nim Pestalozzi oparł całą swoją metodę nauczania, kierując zwolna, a systematycznie rozwój umysłu i znaglając niejaką przemocą dziecię do myślenia.

Był to cios ostateczny, zabijający dotychczasowy system — cios, który był w stanie obalić formułkowe nauczanie zdań cudzych i przepełnianie niemi pamięci ucznia. Przełom ten wprowadził naukę na nowe tory, a chociaż do dziś-dnia w naszych szkołach prywatnych i rządowych trzymają się jeszcze starej formy nauczania, to nie wypływa z tego, aby system Pestalozzego był złym zupełnie. Prowadzenie, jakie dziś znajdujemy w naszych szkołach, możemy prędzej przypisać braku prawdziwego zamiłowania nauczycielstwa i braku pracy gdyż metoda Pestalozzego, oparta na wrodzonem usposobieniu duchowej natury człowieka, jest silną i ma byt przed sobą zapewniony.

Jako środków pomocniczych do swego systemu nauczania, Pestalozzi użył trzech elementów, któremi objaśnił dalszy rozwój nowej metody. Temi elementami jest *kształt*, *liczba* i *imię*.

Nie bylibyśmy wstanie zmienić *kształtu* i *liczby* rzeczy, nie zmieniając razem i jej natury. *Imię*, lubo jest tylko przymiotem rzeczy z umowy stworzonem, jednakże nie jest mniej ważnym punktem początkowej nauki; bez niego nie mogliby ludzie nawzajem sobie udzielać przedmiotów, a tem samem nie mogliby siebie rozumiéć. Widzimy więc, że jak bez *pojęcia* nic nie istnieje (dla nas), tak bez dwóch pierwiastkowych elementów, a mianowicie *bez kształtu i liczby* nie byłoby *pojęcia*.

Oto główne podstawy nauki, na których swoją metodę oparł Pestalozzi.

Na tych więc podstawach jest oparta i książeczka dla matek, która objaśnia jak ma każda opiekunka dziecka, rozwijać w nim:

Po pierwsze, pojęcie natury i sztuki,

po drugie, przestrzegać stosunków liczbowych,

po trzecie, przestrzegać stosunków w kształtach, albo stosunków miarowych.

Powiedzieliśmy już wyżej, że w pierwszem wydaniu ta książczcka dzieli się na dziesięć ćwiczeń, które tak się nam przedstawiają:

W pierwszem cwiczeniu autor obszernie traktuje i zastanawia się nad tem, że dziecię najpierw spostrzega ciało, nad którem pojęcie jego się zatrzymuje.

Z kolei zaczyna ono rozróżniać korpus, ręce głowę i t. d.

Kiedy dziecię pozna już oczy, wtedy matka wskazuje mu brwi, powieki, rzęsy i inne subtel-

---

(¹) Następnie wyszły dziełka Pestalozzego:

1) *„Krysztof i Eliza"* Zurych 1782 r.

2) *„Badania nad prawami natury"* (Nachtforschungen über den Gang der Natur). Zurych 1782 r.

3) *„Jak Gertruda swoje dzieci uczy"*. Zurych 1801 r.

4) *„Buch für Mütter"*.

5) *„Anschaungslehre der Mass und Zahlen verhältnisse"* (Wyobrażenie miar i wag obiomu). Lipsk 1803—4 r.

6) *„Selbstbiographie"* (Własna biografia) 1826 r.

O ile mi wiadomo, żadna z tych książeczek na polski język nie była tłomaczoną.

niejsze ozdoby, lub składowe części oka, nauczając go rozróżniać powiekę *prawą* i powiekę *lewą*; rzęsę *prawą* i rzęsę *lewą*.

Taki subtelny rozbiór zdaje się być śmiesznym i mało znaczny, a jednak rozwija on bardzo.

W drugiem ćwiczeniu uczy się dziecię pokazywać czoło i odpowiadać na zapytania: Gdzie czoło leży, czy u góry czy u dołu? Co to jest dół? i t. d.

W trzeciem ćwiczeniu powinno już rozróżniać stosunki między częściami ciała, np. Głowa jest częścią ciała, twarz jest częścią głowy, czoło jest częścią twarzy, powieki są częścią oczu.

W czwartem ćwiczeniu pokazuje się dziecku części ciała, które są pojedyńcze, podwójne, poczwórne i t. d.

Np. Ciało ma jedną głowę, jeden tułów, jedną szyję. Głowa ma jedno czoło, jedno ciemię, jedną brodę, gębę, dwie skronie, dwoje uszów.

Twarz ma dwoje oczu, nos ma dwa skrzydełka, dwie dziurki.

Dwoje ócz mają cztery powieki: dwie górne dwie dolne. Dwie szczęki mają cztery zęby podoczne.

Na dwu rękach jest 10 palców i t. d.

W piątem ćwiczeniu zwraca się już uwagę na *przymiot* np.

Głowa jest ogrągła, ruchoma, częścią włosami pokryta, częścią naga.

Czoło jest twarde, wypukłe, w młodości gładkie, kiedy patrzymy w górę, zmarszcza się.

Oczy są okrągłe, wilgotne i t. d.

W szóstem ćwiczeniu uczy się mianować razem różne części ciała, u których są pewne własności: wypukłość, łukowatość, wklęsłość i t. p.

Skoro już dziecię nauczy się w tych sześciu ćwiczeniach rozróżniać i poznawać dobrze ciało, wtedy przechodzi się z niem wolno do pojęcia ruchu i to stanowi temat dalszych ćwiczeń.

W siódmem ćwiczeniu matka powina dołożyć starania, aby dziecię rozumiało już co to jest widzieć? widzieć na czem, przy czem, przez co i t. d.

Jak czujemy nosem? wąchamy, pijemy? Jak żyjemy? Czy przyzwoicie? Jak mówimy? Czy głośno? Czy cicho i t. d.

W ósmem ćwiczeniu zwraca się dziecięciu uwagę na ostrożność, którą ma zachowywać około ciała swego, jak również na czystość w utrzymywaniu.

Dziewiąte i dziesiąte ćwiczenie, jest to zbiór wszystkich razem lekcyi wypowiedzianych z dokładnością najdrobniejszą, z opisaniem liczby i przymiotu. Słowem prowadząc kolejno naukę, potrzeba się głównie starać o rozwinięcie jego sposobu myślenia.

(D. c. n.)

ECHO.

(Tłomaczenie z Puszkina.)

Czy zwierz ryczy w głuchym lesie,
Czy wiatr pieśni rozgłos niesie,
Czy myśliwi w rogi dmą,
Na każdy dźwięk
Ty dajesz odpowiedź swą.
Na burzy jęk,
Na głos pasterza wiejskiego,
Na wystrzały myśliwego —
Posyłasz wnet oddźwięk swoj,
A żaden głos
Ci nie odpowie... To twój,
Poeto, los.

Pionierzy gotycyzmu w Polsce.

Dwa odczyty prof. Łuszczkiewicza, wygłoszone dnia 27 i 29 Listopada, w sali ratuszowej.

Oddawna Warszawa nie słyszała odczytów o sztuce polskiej, ibodaj czy nie są to pierwsze? bo i czyż może sztuka zajmować słuchacza, sztuka składająca się tylko z nazw technicznych, lub uwag ogólnych...

Takby się nam zdawało; a jednak tak nie jest.

Jak w malarstwie i rzeźbie znajdujemy ogromny zasób poezyi, tak samo i w sztuce znajduje się prawdziwe piękno, chociażby ściany jakiego gmachu nie były obrzucone symbolicznemi figurami, lub jak obeliski egipskie różnem heroglificznem pismem.

Oto w dwóch tych odczytach, o których mamy tu mówić, dowiódł tego szanowny i uczony prelegent, wreszcie jedyny u nas człowiek zajmujący się i znający te rzeczy dokładnie i pracujący na tem polu z prawdziwem poświęceniem.

Pr. Łuszczkiewicz rozpatrując nasze piękne budynki, zatrzymał się w tych odczytach przeważnie nad gotycyzmem w Polsce, a zbijając dotychczasowe twierdzenie, jakoby gotycyzm powstał samodzielnie, przedstawia nam najdokładniej, że jest on dalszem przekształceniem się stylu Romańskiego.

Jako pierwszych krzewicieli, jako pierwszych pionierów gotycyzmu, uważa szanowny prelegent zakonników Cysterskich, dzielnych architektów, poważnych, niepragnących sławy, a cierpliwych mnichów.

W pierwszym więc odczycie poświęca sz. prelegent wiele miejsca tym cierpliwym i nieutrudzonym artystom, którzy od swojego opactwa, położonego w Burgundyi w dyecezyi Chalons w odludnej pustyni, zbudowali wśród lasów i skał pierwszy klasztor i pierwsze opactwo cysterskie (Citeaux) gdzie stanął na czele, Robert opat Benedyktynów z Molesme. Widzimy więc że Cystersi jest to odłam zakonu Benedyktynów, których wkrótce brunatne habita zmieniły się na białe.

Po Robercie opactwo cysterskie przeszło pod nadzór nowowybranego opata Św. Alberyka, który wyjednał u papieża Paschalisa II-go nowe ustawy *„Instytuta monachoróm Cistertientium"*.

Już Robert i Alberyk starali się o zaprowadzenie ścisłych i surowych postów, jak również ostrego życia w tych klasztorach, ale więcej może do zaprowadzenia tej reguły przyczynił się ich następca Stefan Harding, który z taką surowością przestrzegał przepisy zakonne, że nikt potem nie chciał wstąpić do klasztoru.

Osamotniony, niósł on modły codzienne przed ołtarze, aby mu Bóg zesłał towarzyszy, a zdaje się modlitwa była przyjętą, gdyż wkrótce przybył tu Św. Bernard z trzydziestu swymi towarzyszami. Odtąd zaczął się znacznie zwiększać zakon Cystersów, dla których Stefan zgodnie ze wszystkimi swymi towarzyszami ułożył w 1119 roku „Ustawę miłości" (carta caritatis), zatwierdzaną kolejno przez papieży: Kalikst II, Eugeniusz III, Anastazy IV, Adrian IV i Aleksander III. Toteż odtąd liczba ta wzrosła bardzo, gdyż w pięćdziesiąt lat niespełna Cystersi liczyli już przeszło pięćset opactw we Francyi, tak iż główny przełożony opactwa „Citeaux" musiał wydać pewne prawa, aby niemi ograniczyć wzrost tak raptowny tych klasztorów. Przepisy te wpłynęły niezawodnie na szybkie rozpowszechnienie zakonu cysterskiego w całem świecie, gdzie wychowany w surowem życiu mnich, niósł z sobą najpiękniejsze zasady, bo wytrwałość, pracę i zaparcie się samego siebie.

Przeto pierwszymi artystami, pierwszymi budowniczemi i pierwszymi najwytrwalszymi roznosicielami cywilizacyi — byli dla nas Cystersi. Oni-to przyszli do Polski, a z sobą przynieśli pracę, wytrwałość i artyzm.

Oto tło mniej więcej epoki o której sztuce mamy mówić.

Zakonnik, przybyły z daleka, szukał sobie odpowiedniego miejsca w odludnej okolicy, któreby zawierało źródlaną wodę i inne po temu warunki, a upatrzywszy je, zakładał klasztor. Nie troszczono się wtedy o pole; Cystersi potrafili sobie osuszać ziemię i tworzyć z bagnisk najurodzajniejsze grunta, ale do tego potrzebowali aby okolica była piękną — bo innej nie znosiła dusza Cystersa.

Ale przejdźmy dalej. Otóż owi mnichy z opactwa Marymondzkiego (Marimond) wyszli do Niemiec, Polski, Czech, Morawii, Szląska, Saksonii, Bawaryi i Litwy i tam założyli swoje klasztory.

Przybywszy w obce strony, artysta-mnich, kiedy wynalazł odpowiednie miejsce na klasztor, nie mógł—tworząc na wzór swoich dawnych opactw, stawić podobnych budynków, ale musiał się zastosować do materyału i klimatu w nowo osiedlanym kraju.

Wpływ ten uważa sz. prelegent jako konieczność wyrobienia się odrębności stylowej, która w każdej budowie polskiej aż nadto wybitnie odróżnia się w bardzo wielu rysach. To była główna i przewodnia myśl w wygłaszanych odczytach sz. prelegenta, i jeżeli w pierwszem zatrzymał się dłużej nad położeniem opactw cysterskich i nad warunkami ich życia, to w drugim położył on główny nacisk na owe romańskie sklepienia, wsparte na silnych murach, których architekt musiał liczyć bardzo na siłę ciężaru, aby dawne sklepienia nie rozparły ścian. Otóż pierwsze takie budynki stawiane były zwykle z kamienia ciosowego, lub piaskowca, który zużywał wiele podówczas rąk roboczych i potrzebował starannego obrobienia. Jednakże nie ustraszało to zbyt wytrwałego mnicha; kuł on, a chociaż ornamenta nie zawsze szczęśliwie wychodziły z pod niewprawnej jeszcze ręki, lecz piękno było zawsze, gdyż nie w ornamencie potrzeba go szukać, ale w wymiarze. Wymiar budynku i prawdziwe realne podstawy wywarły największe wrażenie, tworząc tę systematyczność nie tylko piękną ale i harmonijną, która, jak poezya, przemawia do naszej duszy. Jak w poezyi tak i w architekturze główną podstawą jest prawda, i dlatego jedynie styl jak romański, tak i gotycki jest pięknym — bo prawdziwym, bo przemawiającym z osobna za czasem z którego powstał, z którego wziął swój początek.

Klasztory cysterskie są najpiękniejszemi budowlami z ówczesnych czasów na Polskiej ziemi. Z ciężkiej architektonicznej budowy romańskiego stylu zaczyna się wyłaniać ów lekki ozdobny styl ostrołukowy, który potem staje się niezwykle piękną rzeczą. Owe grube mury romańskiego stylu, już w gotycyzmie nie są zupełnie potrzebne

ta altanka wznosząca się na pięknych wysmukłych kolumnach, inaczej rozkłada swój ciężar; silne żebra, zabite w górze sworzniem, jakby trzcinowe pręty podtrzymują sklepienia, które mogą być usunięte zupełnie, a wtedy przedstawi nam się szkielet pięknej budowy.

Otóż łuki sklepienne w budynkach cysterskich, na wzorach, które nam szanowny prelegent przedstawił, zaczynają się zwolna podnosić. Budowniczy chwieje się co do sposobu kształtowania kolumny; tworzy ją niekiedy kwadratową, która zwolna zaczyna coraz więcej przechodzić w kolumnę wiązaną, jaką znajdujemy już w gotyckich kościołach. Na sklepieniach romańskich pokazują się owe przyszłe żebra gotyckie, które dziś mają jedynie na celu wzmocnienie sklepienia. Idąc tak kolejno, sz. prelegent wykazał najdokładniej wytwarzanie się stylu gotyckiego na pięciu polskich kościołach Cystersów, znajdujących się: w Wągrowcu, Sulejowie, Jędrzejowie, Koprzywnicy i Mogile. Wszystkie te kościoły, oprócz ostatniego pochodzą z XII wieku, a zatem nie o wiele późniejsze od kościołów cysterskich w Citeaoux i jego okolicach. Dlaczego jednak sz. prelegent nie wzmiankował o innych współczesnych kościołach cysterskich kiedy niezawodnie jest ich więcej? Profesor krakowski Zygmunt wydał na początku XVII wieku w Poznaniu (1614 roku) książkę p. t. „*Tabula omnium monasterium Ordinis Cisterciensis*" w której wymięnia oprócz wyżej wymienionych jeszcze nawet starsze kościoły niż w Wągrowcu, gdyż pierwszy taki klasztor, o ile się przekonywamy z jego dzieła, był założony w wiosce Lend dawniej powszechnie nazywanej Lidawą, nad rzeką Wartą, w dyecezyi gnieźnieńskiej, fundowany przez Mieczysława Starego, w roku 1145, gdzie potem osiedli Kapucyni. Współczesne zaś kościołowi w Mogile są: Ołobok, dyecezyi gnieźnieńskiej, fundowany przez Władysława Plwacza, księcia poznańskiego. W Obrze, dyecezy poznańskiej, wystawił w 1234 r. takiż klasztor dla Cystersów Skandynawój kanonik i kantor gnieźnieński. Wreszcie w roku 1234, powstał kościół fundowany w Szczyrzycy przez Teodora wojewodę krakowskiego i w następnym roku we wsi Bledzew, dawniej powszechnie zwanej Bytowem, nad rzeką Obrą, w dyecezyi poznańskiej, dźwignięty funduszami i staraniem Władysława Plwacza książęcia wielkopolskiego. Dalszych nie wspominam, należą one już do późniejszej epoki; tu jednak należy nadmienić klasztor oliwski, fundowany w roku 1170 przez księcia pomorskiego w dyecezyi kujawskiej we wsi Oliwa.

Widzimy więc że do tej epoki należą jeszcze i inne klasztory, których pominąć nie można. Ale sz. prelegent, o ile okazuje się z odczytu, mówił tylko o tych budynkach, które na miejscu oglądał, dlatego też i nam potrzeba się nieco nad niemi zatrzymać.

Klasztor w Wągrowcu (w dawniejszej Łuknie) nad rzeką Wełną, w dyecezyi poznańskiej, fundował Piotr Zbilut z Panigrodu. Jest to świątynia wystawiona z ciosowego kamienia, co prawda niezbyt wielkich rozmiarów, gdyż mnich cysterski nie znosił obok siebie modlącego się tłumu.

Takiż kościół wznosi się w Jędrzejowie, dyecezyi krakowskiej, fundowany przez Klemensa i Jana arcybiskupa Gnieźnieńskiego herbu Gryf, w roku 1154.

Wreszcie najpiękniejszy z nich sulejowski kościół, którego piękna architektura już tylko nam w rysunkach archytektonicznych pozostała, fundowany przez Kazimierza II Sprawiedliwego, księcia sandomierskiego i lubelskiego, w roku 1176, jeszcze przed dwudziestu laty istniał i można go było odrestaurować i podtrzymać. Nieznajomość jednak naszych pomników i brak zamiłowania przyczyniły się do rychlejszego upadku pięknej tej świątyni, która przez tyle wieków świadczyła o naszej cywilizacyi.

Klasztor w Koprzywnicy, dyecezyi krakowskiej, jest czwartym z rzędu budynkiem, o którym mówił pr. Łuszczkiewicz; pobudował go tenże Kazimierz Sprawiedliwy 1183 r.; Mogiła (Clara Tumba) należy już do innych budynków. Jest ona postawiona znacznie później, z cegły i zawiera w sobie wiele więcej stylu i formy niemieckiej. Fundował ją w roku 1221 Jwo — czyli Jan Odrowąż, biskup krakowski.

Powiedziawszy słów parę o budowie klasztorów cysterskich w Polsce, zakończymy tę rzecz nadmieniając ze szanowny prelegent rozejrzawszy kolejno budowę tych kościołów, dowiódł nam, że mamy własną polską sztukę, która chociaż na obcych uformowała się podstawach, jednakże odrębny u nas wyrobiła sobie charakter. Przez naszą nie świadomość tylko i przez brak wykształcenia w tym kierunku nie umiemy ocenić naszych świetnych zabytków, nie umiemy się na nich poznać, tak jak się nie poznano do początków XIX wieku na prześlicznej średniowiecznej rzeźbie Wita Stwosza w Krakowie, która czekała aż na Thorwaldsena przez trzy przeszło wieki, aby o jej piękności wypowiedział ostatnie zdanie ten dzielny mistrz dłuta.

Że w odczytach swych pr. Łuszczkiewicz wypowiedział rzecz na gruntownych i prawdziwych studyach opartą, o tem nie mamy prawa powątpiewać!

Wiktor Czajewski.

30 Listopada.

BAL MASKOWY.

Nowella z angielskiego.

I.

— Jestem pewna, że mi nie odmówisz tego, Hugo mio! — rzekłam najsłodszym w świecie głosem do mego męża, rzucając mu przytem spojrzenie, którego urokowi nie mógł się nigdy oprzeć, kiedy był jeszcze moim narzeczonym. Tym razem, niestety, urok nie poskutkował, bo Hugo odwrócił się tylko jakiś zniecierpliwiony.

— Moja duszko! muszę ci odmówić, bo wymagasz rzeczy nierozsądnej — odparł mi tonem, jakim się odpowiada zepsutemu dziecku, kiedy zaczynam się dąsać.

— Nierozsądnej? podchwyciłam żywo: cóż w tem nierozsądnego, że chcę iść razem z tobą na bal maskowy? Żona może wszędzie towarzyszyć mężowi, a jeźli uważasz że mi nie wypada gdzie iść, to dlaczegóż sam tam idziesz?

— Jakaś ty jeszcze dziecinna, Norciu! odrzekł na to ze śmiechem. Ale coto? założyłbym się, że masz ochotę płakać. Potem już poważniej dodał: wiesz przecie, że gdybym to uznawał za właściwe, wziąłbym cię bez namysłu. Ale, widzisz, na maskaradzie dzieją się nieraz takie rzeczy, na które nie życzyłbym sobie, żeby patrzały oczy mojej dzieciny. Zazdrosny jestem o dziewiczy puszek mojej śnieżnej lilijki, rzekł, chyląc się ku mnie i całując — zostaniesz sobie w domu, a ja tymczasem za parę godzin powrócę.

— Weź mnie, Hugonie — mówię z przymileniem, oddając pocałunki z procentem, bo nie ma jeszcze sześciu tygodni jakeśmy się pobrali — będę taka grzeczna, taka grzeczna; zamknę oczy i uszy na wszystko, czegom widzieć ani słyszeć nie powinna. Zresztą przy twoim boku cóż mi się złego stać może?

— Na pozór nic — odrzekł trochę chłodno — ale niemiła to rzecz wystawiać cię na pewną swobodę obejścia, która w podobnych miejscach jest dozwolona i aż nadto praktykowana.

— A jednak kiedy Klara była we Florencyi, Artur brał ją na bale maskowe i w Paryżu także— broniłam się dalej.

— Wolno lordowi Forster brać z sobą twoją siostrę, gdzie mu się podoba — mówi Hugo nieco uroczystym tonem — ale ty nie jesteś jego żoną, tylko moją; ja zaś inaczej chciałbym ci uprzyjemnić życie, jak prowadzaniem po balach maskowych.

— Artur pod każdym względem więcej zajmuje się Klarą.

— Być może, ale moja Norciu, ja od nikogo lekcyi postępowania brać nie potrzebuję.

— Więc stanowczo mi odmawiasz? wybuchnęłam. Widocznie dałeś sobie słowo, aby mnie drażnić: jesteś pan nieuprzejmy!

— Dałem sobie słowo, aby cię nigdy nie brać w takie miejsca — odrzekł poważnie. Może cię to drażni — to inna rzecz, ale myślę, że moja żoneczka wie dobrze, ile mnie to kosztuje jej coś odmówić, a kocha mnie tyle, że rozumie przyczyny mojej odmowy.

Mówiąc to spojrzał na mnie słodko swemi głębokiemi siwemi oczami. Ale ja nie chcę zgody — wyślizguję się z jego objęć, ciągnę za sobą tren mojej powłóczystej sukni, zasiadam na aksamitnym fotelu naszego mieszkania w jednym z paryzkich hoteli i postanawiam zachowywać uroczyste milczenie. Postać moja odbija się całkowicie w lustrze; pomimo złego humoru, uważam, że wyglądam raczej na krnąbrne dziecko, niż na obrażoną matronę. Zwierciadło odbija moją małą, szczupłą figurkę, wyglądającą dziecinnie pomimo lat dwudziestu, z massą popielatych nieco kędzierzawych włosów, dużemi ciemno-szafirowemi oczami, nadąsaną minką, zarumienioną od gniewu twarzą, o której piękności szeptano mi nieraz.

Przenosząc spojrzenie na mego męża, którego obraz również odbijał się w lustrze, widzę wysokiego, silnie zbudowanego mężczyznę, starszego ode mnie o lat piętnaście, z siwemi oczyma, bujnemi włosami, okalającemi wyniosłe czoło; długi jedwabisty wąs ocieniał łagodnie zarysowane usta. Co za piękny mężczyzna, a jaki dobry, jaki szlachetny! I to jest mój mąż, a jak mnie kocha! Jestem nierozsądna, dziecinna i nieoświecona, a on nic na to nie zważa. Czemże mu zapłacę za jego miłość? Dając mu duszę całą i serce, ale to się już stało wkrótce po naszem poznaniu.

Była chwilka milczenia. Hugo obserwuje mnie z daleka — trochę chmurnie, trochę z uśmiechem; ale uśmiech zwycięża, bo siada przy mnie i kładąc z miłością rękę na mojem ramieniu, mówi:

— Darmo, kochanku, nie umiesz się gniewać, choćbyś chciała. Wierzaj mi, nie miałaś racyi w tej sprawie. O cóż ci chodzi? Za godzinę, a przynajmniej jak tylko będę mógł najwcześniej, jestem z powrotem.

— O, nie potrzebujesz się mną krępować — by-

ła zimna odpowiedź — mogę się obejść bez ciebie; zostań tak długo, jak ci się podoba.

— Wybornie zatem! odpowiada Hugo, udając, że nie spostrzegł mego chłodu.—Zresztą nie mam potrzeby odchodzić przed twojem pójściem spać, więc nie będziesz miała czasu się znudzić.

— Widocznie uważasz swoją obecność za konieczny warunek mego szczęścia. Winszuję, odrzekłam sztywnie: ale proszę, porzuć te złudzenia. Będę najzupełniej szczęśliwą i bez ciebie.

— Czyż będziesz? To źle. A jam sobie wyobrażał, że obecność moja jest o tyle użyteczną dla twego szczęścia, o ile twoja dla mego konieczną.

Tu zdjął rękę z mego ramienia i czekał chwilę, czy nie rozpocznę jakiej apologii mojego buntu; widząc jednak moje uporczywe milczenie, poszedł się ubrać do obiadu i zostawił mnie na pastwę własnym myślom.

Ktoś rozsądny mógłby poczytać — i słusznie — odmowę mego męża za nic nieznaczącą dziecinną krzywdę. Mnie się wtedy wydawało inaczej: przez cały ciąg naszego sześciotygodniowego pożycia, życzenia a nawet kaprysy moje nie spotkały najmniejszej opozycyi — przyzwyczaiłam się tyranizować mojego Hugona. Dziś po raz pierwszy spotykam się z opozycyą i to stanowczą, nie zwracającą uwagi na żadne przełożenia i wymówki. Byłam zła, gniewna, oburzona bez granic. Dlaczego nie mam pójść? Jestem przecie mężatką, powinnam zawsze być z moim mężem, a nadewszystko — chciałabym widzieć bal maskowy. Moja siostra Klara nie mogła się naopowiadać o swoich przygodach z wycieczki odbytej ze swoim mężem zaraz po ślubie, a ja? i wartoż to było zaślubiać pana Hugona Marsden?...

Ubierając się do obiadu jestem niecierpliwą i nieznośną dla mojej duenny, odrzucam precz jasne kolory, wybieram czarną jedwabną suknię, ubraną koronkami i cieszę się w duchu, że mi ona niezmiernie dodaje powagi. Wchodzę majestatycznie do salonu z podniesioną głową i zaciśniętemi usty. Uważam, że mój mąż bawi się mojną powagą i uśmiecha się nieznacznie z pod wąsa, patrząc na mnie. To mnie dobija. Nie odpowiadam mu wcale i nie rozchmurzam czoła nawet wtedy, gdy słyszę oświadczenie, że moja toaleta jest prześliczną i że dla blondynek nie ma, jak czarny kolor.

Obiad przechodzi w milczeniu. Hugo kilka razy stara się mnie rozruszać, ale ja chowam urazę w głębi serca, a ponieważ wiem, że gdybym otworzyła usta, skończyłoby się na gorzkich wyrzutach i potoku łez, milczę zawzięcie.

Hugo zmęczony w końcu nic już nie mówi i siedzi osowiały.

Nie wiem, doprawdy, co mi się stało. Choć zepsute dziecko, nie jestem złą w gruncie, ani znów zbyt nieznośną, a jednak czuję, że staję się taką tego wieczora. Po obiedzie żeby przerwać tę grobową ciszę i upozorować swoje milczenie, siadam do fortepianu, zaczynam brzdąkać, próbować jakichś nowych śpiewek i grać urywki nawpół zapomnianych melodyi w sposób, który musiał obrażać uszy takiego melomana, jakim jest mój mąż. Ten jednakże znosi wszystkie tortury ze stoicką cierpliwością, czasem tylko nie może już wytrzymać i zdradza lekkie zniecierpliwienie. Nic mnie to nie zbija z tropu, brzdąkam sobie dalej, uśmiechając się ironicznie.

Nareszcie na zegarze nad kominkiem wybiło kwadrans na jedenastą, obracam głowę od fortepianu i mówię chłodno:

— To pewno już na ciebie czas?

— O, nie ma nic pilnego, brzmiała odpowiedź. Pewno jesteś zmęczoną Norciu i pójdziesz spać?

Jakto mu pilno mnie się pozbyć — myślę sobie z gniewem — i nie mówiąc ani słowa idę do swego pokoju i usiadłszy przy kominku, pogrążam się w przykrą zadumę. Po chwili wchodzi Hugo i znów siada przy mnie. Ma na sobie obszerne futro — bo to był Luty — i nawet w moich zagniewanych oczach wygląda pięknie i dystyngowanie. Bierze mnie wesoło za rękę i mówi, patrząc mi w oczy.

— No, żoneczko, porzuć te kaprysiki, pocałuj męża i powiedz mu dobranoc!

Ale ja się nagle odwracam i jego usta dotknęły tylko mego warkocza.

— Ha! kiedy tak, to dobrze — mówi śmiejąc się — cóż na to poradzić, jak się ma taką niegrzeczną żonę? Bądź co bądź, niedługo wrócę, dodał zabierając się do wyjścia.

— Wszystko mi jedno, możesz sobie nie wracać wcale! rzuciłam wślad za nim.

Spojrzał raz jeszcze na mnie wzrokiem, w którym malowało się zdziwienie i wyrzut i wyszedł. Skoro drzwi się za nim zamknęły, padłam na krzesło i wybuchnęłam głośnym płaczem. Błogie to były łzy, bo zmyły z mej duszy urazę i gorycz, które się tam wkradły. Drogi mój Hugo! jaki on dobry, jaki poczciwy, a co za nicpotem ze mnie, myślałam, porządkując swoje w nieładzie rozrzucone włosy. Jaka ja byłam nieznośna i wyzywająca, jak szczerze chciałabym odwołać te okrutne, gorzkie słowa i och, takie nieprawdziwe! Gdyby tak wrócił zaraz! Wypłakałabym się na jego piersi, onby mnie wziął na ręce, ucałował, pocieszył. Kiedym się dobrze wypłakała, uczułam wielkie znużenie i pomyślałam sobie że trzeba zaraz pójść do łóżka, aby być wypoczętą gdy przyjdzie Hugo, i ja mu opowiem moje smutki i żale. Ale przyszła obawa, nuż usnę i nie obudzę się, gdy Hugo przyjdzie, co jest bardzo prawdopodobne, bo mam sławę wielkiego śpiocha. Wiem, co zrobić! Napiszę bilecik i położę go w widocznem miejscu, aby Hugo, jak tylko wejdzie, mógł zaraz dowiedzieć się o wszystkiem.

Wśród wielu pięknych cacek, jakie dostałam od Hugona, miałam ulubioną moją tekę, oprawną w srebro i perłową masę. Otworzyłam ją z dziecinną radością i wzięłam pióro, aby napisać słów parę. W zamyśleniu oczy moje padły na jakąś karteczkę, leżącą między stronnicami bibuły. Machinalnie spojrzałam na nią, ale gdym się wpatrzyła uważniej, coś mnie ukłóło boleśnie. Na pięknym papierze, z monogramem „Thérese" wyciśniętym na tle srebrno niebieskiem, wyczytałam te słowa, napisane eleganckiem pismem kobiecem: „Osłupiałam, kiedym ujrzała wczoraj mego męża w Paryżu z kobietą, która widocznie zajęła moje miejsce. Czy to nie był sen? Błagam cię, bądź dziś na balu w Operze. Będę miała niebieskie domino. Jeśliś mię kochał kiedy, przyjdź! Nie opuszczaj mnie, drogi!"

Kartka wypadła mi z ręki; siedziałam jak skamieniała. Co znaczyły te okrutne słowa, które tylko przeczytałam? Straszne myśli przeszły mi przez głowę. Jakto? więc mąż mój — on, Hugo Marsden, należał kiedyś do innej kobiety, więc ja jestem intruzem jakimś, nie jego żoną? Przycisnęłam ręce do czoła, aby uspokoić burzę, która wrzała mi w skroniach. Wstałam i zaczęłam szybko chodzić po pokoju. Wszystkie władze mego umysłu sprzysięgły się na to, aby mię doprowadzić do wniosku, że Hugo był już żonatym przed naszem poznaniem i że dziś poszedł po to, aby spotkać się ze swoją żoną. O nieba! czemże więc ja jestem dla niego? Nie! myśl wszelka jest czasem szaleństwem.

Zaczęłam dokładniej studyować bilecik: nosił adres Hugona Marsden w hotelu Maurice i widocznie nie był wysłany przez pocztę. Zebrawszy myśli, przypominam sobie, jaki mój mąż był niespokojny i cierpki przez cały dzień, dalej z gorycz stanęło mi w pamięci, jak wczoraj w Luwrze spotkaliśmy jakąś wysoką, przystojną brunetkę, która zatrzymała się nagle, zbladła na nasz widok i z niemą prośbą spojrzała na Hugona. A może to tylko było przywidzenie, bo mąż mój wyglądał zupełnie spokojnie, nawet obojętnie; gdym go zaczęła badać, zbył mnie jakoś krótko? Czyżby to była owa Teresa, której list miałam przed oczyma? Jestże to prawdą że Hugo mnie oszukuje? O! jeżeli tak, to już po mojem szczęściu: nie pozostaje mi nic, jak tylko rozpacz i śmierć! Załamałam ręce z boleścią, potem otworzyłam okno, aby się orzeźwić świeżem nocnem powietrzem. Tam na ulicy migotały światła gazowe, a niebo było pogodne i gwiaździste; pojazdy toczyły się wesoło, świetne, błyszczące życie paryzkie wrzało w całej pełni. Mój Boże! kilka godzin temu byłam szczęśliwszą może od tego tłumu, a teraz...

Nagle błysnęła mi myśl — szalona, zuchwała, desperacka, myśl, jaka może się zrodzić w rozgorączkowanej tylko głowie. Pójdę sama na bal do Opery; własnemi oczami zobaczę, czy mąż mój mnie zdradza; spojrzę oko w oko tej, która w imię miłości wezwała go do siebie.

Myśl ta nie dawała mi pokoju i natarczywie domagała się wykonania. Wyprawiłam spać moją pannę służącą i kazałam do siebie przywołać inną, która gdzieindziej wprawdzie miała obowiązek, ale nieraz mi usłużyła swoją zręcznością i dowcipem.

— Wirginio, mówię, gdy weszła — czy jesteś wolna? Sir Hugh poszedł na bal do Opery—mam ochotę zrobić mu niespodziankę i pójść za nim. Czy mogłabyś mi w tem pomódz?

— Nic łatwiejszego, milady! Domino i powóz mogą być w tej chwili; a towarzysza jakiego znajdzie pani bez trudności przy wejściu.

— Czy nie możnaby się obejść bez towarzysza? pytam niechętnie.

— Oh, milady, nigdy! Ale on tylko potrzebny do wprowadzenia. Domino przyniosę w tej chwili, proszę tylko o pieniądze.

Dałam jej bilet stufrankowy, a ona, skłoniwszy mi się lekko, wyszła z pokoju z miną zadowoloną i wesołą, nie troszcząc się zapewne o mnie, ani o mój projekt, który zaczął przybierać w moich oczach jakiś dziwny charakter.

Myślę, że Wirginia krótko musiała bawić, ale czas ten wydał mi się nieznośnie długi. Wreszcie wróciła niosąc jakieś zawiniątko, z którego wyjęła czarny jedwabny kostium, rodzaj długiego płaszcza z peleryną i kapturem. Szybko i zręcznie włożyła na mnie ten strój, spięła kaptur pod brodą i ubrała w maskę aksamitną, obszytą koronkami, nauczywszy mnie przytem, jak się mam z nią obchodzić; potem z tryumfującą miną oświadczyła mi, że moja toaleta jest ukończoną.

— Niech milady raczy przejrzeć się w lustrze: jestem pewną, że milord nigdy jej nie pozna.

— Rzeczywiście, jestem zupełnie nie do poznania, ukryta w fałdach czarnego jedwabiu i mocno zdziwiona własną osobą. Wirginia klaszcze w ręce, admiruje moje przebranie: to mi trochę dodaje

odwagi, bo czuję się tak zdenerwowaną, że ledwo mogę utrzymać się na nogach.

Za kilka chwil już jadę szybko przez tłumną Avenue de l'Opera, niedługo woźnica pochyla się do okna żeby mi powiedzieć iż niepodobna już podjechać bliżej wejścia.

Wysiadam tedy i toruję sobie drogę nerwowa i drżąca przez gwarny tłum, aż wreszcie staję przy wejściu do wspaniałego złocistego budynku, onieśmielona i przerażona nad wyraz.

Po raz pierwszy byłam sama w miejscu publicznem; ta myśl mnie przeraża. Oparłam się o jeden z filarów słaba i oszołomiona, myśląc o tem, co to będzie, kiedy nogi odmówią mi posłuszeństwa i padnę zemdlona.

Nikt się o mnie nie troszczy: mężczyzni i kobiety w różnobarwnych kostiumach swobodnie wstępują na schody, gawędząc, śmiejąc się i żartując. A ja stoję sobie cichutko, tłumiąc oddech w piersiach. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego Hugo nie pozwolił mi iść na ten bal maskowy. Ileżbym za to dała, żeby być już w domu! Wtem jakiś pan w stroju balowym lekko wchodzi na schody, spogląda ku mnie i po niejakim wahaniu uchyla kapelusza i mówi uprzejmie:

— Pani zapewne życzyłaby sobie wejść? czy mogę służyć? wejdziemy razem.

Machinalnie ujęłam go pod rękę, idziemy. Na schodach ścisk straszny, ale mój towarzysz prowadzi mnie zręcznie i z wielką oględnością: jego obejście uspakaja mnie trochę. Gdyśmy już weszli na górę, zatrzymałam się chwilkę.

— Dziękuję panu! rzekłam drżącym głosem — przyszłam tu poszukać mego męża.

Nieznajomy spojrzał na moją rękę: w pośpiechu nie wzięłam rękawiczek, więc musiał dostrzedz moją obrączkę ślubną, bo puścił moją rękę i był jakby trochę zmieszany.

— Przepraszam panią! rzekł z nizkim ukłonem, a odchodząc szepnął: „biedne stworzenie!"

Zostałam samą.

II.

Bal wrzał na dobre. Ogromny budynek przedstawiał jedno wielkie ognisko gazowych świateł; atmosfera ciężka, gorąco nie do wytrzymania. Scena, którą oglądają moje smutne, zdziwione oczy, ma w sobie coś czarodziejskiego: ten świecący blichtrem obraz grzechu i szaleństwa upaja, porywa, przenosi w świat Tysiąca i jednej nocy. Orkiestra gra znany mi dobrze walc Straussa, a maski kręcą się wkoło w szalonym wirze: dziwna mieszanina pstrych, różnobarwnych kostiumów miga mi przed oczami. Zmęczona spoglądam dokoła — jakże tu znaleźć w tym tłumie mego męża, jak odróżnić niebieskie domino, z którem miał się spotkać? Gorąco mi i duszno pod maską; czuję, jak mnie siły opuszczają i stoję w kąciku sali, gdziem się schroniła — był to rodzaj altanki, ocienionej przez ogromne, pełne liścia podzwrotnikowe rośliny, opatrzonej w ławeczki, które zdają się zapraszać do siebie zmęczonych tancerzy. Czas upływa, a ja ciągle czekam i wypatruję. Od czasu do czasu maski zwracają się do mnie, śmiejąc z mojej samotności, żartując z milczenia, a choć każde słówko wesołe przyspiesza bicie mego serca, nie zwracam na to uwagi.

Stopniowo gwar i tańce przycichają; kilka grup przysuwa się do mego schronienia. Serce zabiło mi gwałtownie, gdym wśród nich dojrzała mego męża: nie miał maski, a wysoka jego postać panowała nad tłumem. Był poważny, zajęty i wzruszony; wysoka zręczna postać kobieca w niebieskiem dominie, wspierała się na jego ramieniu. Widzę ją, jak mu coś żywo opowiada, a on ją słucha uważnie i życzliwie. Teraz siadają; Hugo niechcący spogląda ku mnie, w pierwszej chwili obawiam się, żeby mnie nie poznał, próżna obawa! A teraz... bierze obie ręce niebieskiego domina i ściska je z uczuciem. Więc moje domysły były słuszne. Zaćmiło mi się w oczach: cały ten świetny tłum, światła, kwiaty i twarze zlały się w jedną jakąś wirującą masę; mimowoli chwyciłam się czegoś, żeby nie upaść. To mi przechodzi; po chwili widzę już jasno i śledzę mojego męża przenikliwemi oczyma, żeby nie uronić, jeśli nie słowa, to przynajmniej żadnego ruchu z tej rozmowy.

Nie umiem powiedzieć dokładnie, jak to długo trwało; z odrętwienia wyrwała mnie ta okoliczność, że moje milczenie i nieruchomość zwróciły w końcu uwagę kilku masek i stopniowo utworzyło się koło mnie grono wesołych tancerzy, żartujących sobie ze mnie otwarcie i wypowiadającyah głośno zuchwałe komplementy.

— Co za czarujące dominko! mówi jeden: doprawdy, nie godzi się tak stać na uboczu!

— I tak cicho jak posąg — mówi piskliwym głosem kobiecym różowe domino. Powiedz mi, *ma belle*, dlaczego jesteś samą? Czy ci się ulotnił twój wybrany? Możesz przecie znaleźć innego.

— Tuzin cały! rzeknij tylko słówko — woła inny, zbliżając się do mnie poufale i z żywością, która mnie przeraża. Jestem na twoje usługi, *ma belle enfant!*

— I ja też!

— I ja!

— I ja! Bo choć buziaczek twój tak starannie ukrywasz, dostrzegam nóżkę, godną Kopciuszka; a ja uwielbiam piękne nóżki!

Tracę zupełnie głowę. Strwożona, drżąca obracam się na wszystkie strony. Pałające twarze mężczyzn, niemiły, drwiący śmiech kobiet potęgują mój przestrach. Kiedy jeden z napastników dotknął się mego ramienia i zuchwale zajrzał mi w oczy, ledwiem się zdobyła na to, aby odepchnąć jego ręce i wyszeptać: „Puść mnie pan, proszę!" Ale on ani myślał ustąpić, przysunął się jeszcze bliżej i zamierzał objąć mnie wpół, śmiejąc się z mojej obawy. Przerażenie moje nie miało już granic; nawpół przytomna krzyknęłam tak, że Hugo drgnął i obejrzał się w moją stronę, uderzony tem, co się działo. Wtedy wyrwałam się z rąk mego prześladowcy i wołając: „Hugo! mężu, ratuj mnie!" przypadłam do jego ramienia. W mgnieniu oka Hugo wstał, przygarnął mnie do siebie i, nie wiem już jak się to stało, alem się znalazła po chwili na dole, na schodach. Chłodne powietrze trochę mnie orzeźwiło; podniosłam oczy na Hugona: był tak blady, ponury i gniewny, jakim go nigdy nie widziałam. Milczał, ja też nie mogłam wymówić ani słowa. Czekał chwilkę, pókim nie przyszła do siebie, potem zawołał fiakra, wsadził mnie do powozu z niewzruszoną powagą, rzucił adres woźnicy i chciał już zamknąć drzwiczki, kiedym go schwyciła za rękę.

— Jakto! już odchodzisz?

— Przyjadę za chwilkę — odparł chłodno.

Jadę więc sama. Jestem wreszcie już w domu, zamykam się w moim pokoju, padam na łóżko nawpół przytomna, a jednak nie pozbawiona uczucia swego bólu. Nawet płakać nie mogę, choć to jedno mogłoby mi ulżyć trochę: gdy się zastanawiam nad grożącem mi nieszczęściem, suche namiętne łkania wydobywają się z mej piersi. Hugo! mój najdroższy Hugo stracony dla mnie na wieki. On mnie nigdy nie kochał! I uczucie dzikiej rozpaczy ogarnęło mnie zupełnie.

Jęcząc powtarzałam ciągle jego imię, bo nic innego wymówić nie byłam zdolna. Słyszałam jak drzwi się otworzyły i zamknęły, jak Hugo wszedł do salonu, a następnie do pokoju, w którym leżałam bez duszy. Silne, a także miłe ręce podniosły mnie i posadziły w fotelu przy kominku; potem niewprawna ręka uwolniła mnie od maski i domina i oczy moje spotkały się ze wzrokiem Hugona, który, ujrzawszy mnie z blizka, nie mógł ukryć podziwu i niezadowolenia;—na mojej twarzy musiały pozostać ślady tej burzy, która się we mnie srożyła.

Upadam na poduszki mojego fotela, nie dbając o to, co się ze mną stanie, nieruchoma i wyczerpana. Cóż mi po wszystkiem? kiedy jestem zdradzona, kiedy Hugo mnie nie kocha i oszukuje, nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć... Nie patrzę, ale czuję, że jego oczy spoczywają na mnie, a moja ręka w jego dłoni. Wtem ręka moja puszczona ciężko pada mi na kolana.

— Zkąd ci przyszło do głowy podobne szaleństwo? słyszę chłodny głos mego męża. Co cię spowodowało postąpić wbrew moim wyraźnym życzeniom?

Podniosłam oczy na niego nie odpowiadając.

— Widzisz, na co się naraziłaś — dodał łagodniej. Myślę, że dostatecznie zostałaś ukaraną za swoją wycieczkę. Drżę na myśl, coby się stało, gdybym nie był tak blizko.

Milczałam wciąż, bo i cóż miałam mówić? Chyba to, że znam całą szkaradę jego hipokryzyi i fałszu. A jednak... patrząc w te poważne, głębokie, poczciwe oczy nie mam odwagi powiedzieć coś podobnego.

— Jesteś niegrzeczna, nieposłuszna moja grymaśniczko — ciągnął dalej z przymileniem. Ale cóż robić? przebaczam ci, boś się dosyć nacierpiała.

Położył mi rękę na głowie — tę rękę, która przed chwilą ściskała tak serdecznie ręce tamtej! Nie, tego już nadto: zadrżałam całem ciałem, i zbierając resztki sił, odepchnęłam ją ze zgrozą.

— I pan śmiesz mnie dotykać? Nie czujesz, że te pieszczoty nową są dla mnie obelgą?

— Co to ma znaczyć? zawołał. Czyś postradała zmysły, Eleonoro?

— O tak! rzekłam łkając — i to dzięki tobie. Myślisz, że nie znam twej obłudy. Patrz, czytałam ten bilecik.

To mówiąc, podałam mu list; zerwał się nagle, pochwycił go i zarumienił się mocno.

— Więc czytałaś ten bilecik? spytał chłodno.

— Czytałam — odpowiadam w gorączce — i wiem wszystko: wiem, że niczem nie jestem dla ciebie, żeś mnie nigdy nie kochał, że... że Teresa jest twoją żoną!

— Moją żoną? cóż to znów za nowe szaleństwo? powtarza, nie zdając się rozumieć. Nie rozumiem cię, Eleonoro; mówisz, jak w gorączce.

Nagle myśl jakaś, jak błyskawica, przeleciała mu po twarzy.

— Więc ty... rzekł jakby do siebie: nie, ale to niepodobna! więc ty miałabyś przypuszczać, że to ja jestem mężem, o którym mowa w tym liście?

(D. n.)

Z wycieczki do Węgier.

KOSZYCE. — BUDA-PESZT. — PRESZBURG.

Przez L. S. W.

(Dokończenie.)

Ładne to miasto Koszyce, porządnie zabudowane, czyste i choć nie hałaśliwe, dosyć w nim ruchu i życia. Podróżny znajdzie tu wszystkie wygody w hotelu Schiffbecka, jedynym porządniejszym. Na kartach dziejów naszych znajdujemy nieraz wzmiankę o Koszycach, od czasów króla Ludwika i później, gdy jużto królowie, jużto książęta z domu Jagiellonów zasiadali na tronie węgierskim: tędy prowadziła główna droga do Polski, tu zjeżdżali się posłowie obu narodów, tu szlachta polska umawiała się z Ludwikiem o swoje swobody. Wspaniała katedra, w stylu wczesnym gotyckim, wystawiona podobno w wieku XIII, stoi do dziśdnia, jako niemy świadek owych dawno ubiegłych czasów; o sklepienia tej świątyni obijały się modły przodków naszych, obradujących z Ludwikiem, jadących po Jadwigę, i z Warneńczykiem. Wewnątrz obszerny i okazały, ani zbyt ciemny jak niektóre dawne świątynie, ani rażąco widny jak niektóre nowe; kościół ten posiada prześliczne malowane ze szkła kolorowego okna i kilka dawnych nagrobków. W Koszycach jest także muzeum narodowe (oczywiście węgierskie) z darów dobrowolnych powstałe. Zabytki tu przeważnie węgierskie i niezbyt dawne. Najwięcej osób zwiedza te zbiory w niedzielę, szczególniej dziatwa płci obojga, od zajęć szkolnych wolna, która, jak uważałem, mówiła między sobą prawie wyłącznie po słowacku.

Za miastem, na równinie pod lasem, niedaleko rzeczułki i wioseczki z kościołkiem, w miejscowości niezbyt malowniczej i wilgotnej, znajduje się ulubione miejsce spaceru niedzielnego Koszyczan. Jest tu zdrój mineralny siarczany, niedawno odkryty, zwany źródłem Ludwika (Ludwigsquelle v. Laiosquelle), podobno bardzo skuteczny przeciwko reumatyzmowi i innym tego rodzaju chorobom z czasem może tu stanie zakład, a i dziś już przybywa tam nieco gości używających kąpieli i pijących wodę.

Kolej żelazna z Koszyc do Pesztu przecina niezmierzone równiny Węgier północnych; daleko tylko na krańcach horyzontu sinieją góry: na lewo ostatnie odnogi Karpat, na prawo — Matra czyli góry Erlau, słynne z wina erlauskiego. Przy drodze ogromne zagony kukurydzy i plantacye tytoniu; owoców dziwna obfitość — na stacyach sprzedają gruszki po 5 za krajcara (po 4 za grosz) i ogromne arbuzy i melony po 8 i 10 groszy za sztukę. Niektórzy ze Słowaków podróżują okryci białemi koziemi kożuchami, mającemi sierść na obie strony; w wagonach rozlegają się pokrewne pieśni słowackie; zjawiają się także i typowe postacie Węgrów. Co do tych ostatnich, o ile ludzie wyższych stanów nie wyróżniają się fizyognomią od reszty europejczyków, o tyle między pospólstwem można dostrzedz jeszcze dziwne typy — szerokie i śniade twarze z wyrazem wschodnim. Pociąg pędzi szybko: najczęściej zatrzymuje się tylko „egy percz" (ecz percz) to jest jedną minutę, rzadko „tiz percz" (10 minut).

Nareszcie po dziesięciogodzinnej podróży, przybywamy do Pesztu. Z dworca kolei państwowej, na wybrzeże Dunaju, gdzie znajdują się wszystkie hotele, spory kawał drogi: jedni więc, niemający pakunków, posługują się koleją konną, inni, obciążeni bagażami, zmuszeni są brać drogie fiakry.

Pomimo, że cudzoziemcy mało zwiedzają stolicę Węgier, hotele, niezbyt tu liczne bywają częstokroć przepełniane, nawet w letniej porze ogórkowej. Drożyzna tu wielka i wyzyskiwanie cudzoziemców znaczne: tak np. dorożkarz jedzie wolniutko, ażeby odległość wydawała się tem znaczniejszą, a w hotelu posługuje jednej osobie cała czereda sługusów: jeden bierze buty, drugi je odnosi, dziś jeden podaje ci karafkę z wodą, jutro inny i t. d., i całą tę zgraję trzeba przy wyjeździe obdarzyć tryngeltem, gdyż w tym celu w rachunku nie podaje się należności za usługę, jak to jest w innych miastach przyjętem. Wiedeński zwyczaj dawania tryngeltów przy rozpłacaniu się nietylko za obiad, ale nawet za jeden kufelek piwa lub filiżankę kawy, zakorzenił się tu powszechnie, a gdyby kto temu zwyczajowi uchybił, za następnym razem spotka go wyraźne lekceważenie i doświadczy opieszałości ze strony kelnerów. W hotelu trudno o pokój tańszy niż rubla (1 złr. 20 c.); przy każdym hotelu jest restauracya i kawiarnia.

Miasto Peszt wygląda okazale; szczególniej część jego nadbrzeżna, zwrócona ku Budzie, połączonej z nim trzema mostami (z tych jeden żelazny wiszący) składa się z szeregu pięknych pałaców. Najokazalsze sklepy są na ulicy Waitzen; zresztą ruch na ulicach i ruch handlowy nie wydały mi się znacznemi. Na Landstrasse znajduje się muzeum narodowe, ale zabytków tam niewiele: oprócz mierniej galeryi obrazów i obfitego zbioru zoologicznego, pokazują tam pewną ilość zabytków rzymskich i starożytności węgierskich; są i tu (tak liczne po różnych zbiorach) szable Batorego i Sobieskiego, namioty zdobyte pod Wiedniem i arfa Maryi Antoniny.

Zasługuje też na obejrzenie szlachtuz, godny uwagi z powodu swej rozległości, wzorowej czystości i porządku. Kościoły nie przedstawiają nic godnego uwagi; pomników historycznych nie ma żadnych: Węgrzy nie umieją np. powiedzieć, co się stało z prochami ich dawnych królów, gdyż grobów królewskich nie ma tu żadnych.

Zresztą większa część domów w Peszcie została nowo wybudowaną po zbombardowaniu miasta przez Austryaków z fortecy budyńskiej w maju 1849 r. Ogrodów i miejsc do przechadzki brak: jest zaledwie kilka placyków, zwanych „promenadami"; z tych na jednym znajduje się posąg arcyksięcia Józefa, dawnego palatyna Węgier, na drugim posąg hrabiego Szechenyi (wymawia się Seczeny), który wiele zrobił dla upiększenia miasta. Na jednym z takich skwerów usiadłszy, nieprzyjemnie bywasz zdziwiony zjawieniem się dziewczyny, która w sposób niezbyt grzeczny żąda zapłaty za prawo siedzenia. Ruch na ulicach, jak już powiedziałem, umiarkowany. Węgrzy odznaczają się zachowaniem skromnem, poważnem, nieco chłodnem.

Stroje damskie skromne; o ile dostrzegłem i słyszałem, kobiety nie używają tu pudru wcale, co w porównaniu z wybieloną „pod tym względem Warszawą" zaraz uderza podróżnika. Mówiąc nawiasem, kosmetyk ten za granicą, z wyjątkiem może Paryża, niezbyt jest używanym; czyżby chęć podobania się była u nas większą niż gdzieindziej?

W czasie pobytu mego w Peszcie panowały afrykańskie upały. Dla ochłody roznoszono, jak we Włoszech, wodę i lody po ulicach, a wielu z niższych warstw ludności chadzało w bawełnianych kaftanach, pod któremi nie było bielizny.

Śliczny gmach Akademii węgierskiej, na wybrzeżu Dunaju, mieści w sobie słynną galeryę obrazów Esterhazego, która dawniej znajdowała się w Wiedniu, ale ta w lecie rzadko bywa widzialną.

Wyborny i tani środek komunikacyi, ułatwiający przyjemne spacery, stanowią statki parowe, ciągle po Dnuaju kursujące. Odpłynąwszy z przystani w Peszcie wprost kościoła greckiego, statek przybija do przeciwległego wybrzeża w Budzie, ztamtąd wraca do Pesztu przy moście łańcuchowym, zkąd znowu kieruje się do Budy, ztamtąd do zakładu kąpielowego Kaiserbad (Łaźnie cesarskie) za Budą, ztąd znowu na wyspę Małgorzaty (Margarethen Insel) i do Starej Budy (Alt Ofen), leżącej wprost tej wyspy. Za kilkanaście krajcarów można odbyć całą tę drogę, a nawet odbyć ją kilkakrotnie, byle nie wysiadać i wrócić do Pesztu przez te same stacye.

Oprócz tego, Budę z Pesztem łączą trzy mosty, a wprost mostu łańcuchowego prowadzi do starej stolicy długi tunel murowany pod górą zamkową (każdy przechodzień płaci dwa krajcary tam idąc i tyleż idąc z powrotem, zapewne na koszta utrzymania i oświetlenia tunelu). Długość tunelu może wynosić przeszło tysiąc kroków i przebycie jego wymaga z dziesięć minut czasu. Zamek królewski w Budzie, położony na górze, pod względem architektury niebardzo się odznacza, gdyż jest zbudowany w stylu koszarowym, podobnie jak otaczające go budynki forteczne. Dla dostania się na górę, używa się szczególnego środka komunikacyi. Wchodzi się do budynku, w którym znajduje się elegancki wagon odosobniony; żadnych przyrządów ruchu na zewnątrz nie widać.

Zaledwie zabierzemy miejsce w wagonie, czujemy, że tenże podnosi się w górę po kamiennych schodach i po upływie minuty jesteśmy już u celu podróży.

Ruch ten odbywa się na linach, przy pomocy machiny parowej; urządzenie tego przyrządu zawdzięczamy wymienionemu wyżej hr. Shechenyi.

Kaiserbad (po węgiersku Csaszar Füred) jest to zakład kąpielowy w niewielkim parku, porządnie i z komfortem urządzony. Kąpiele istniały tu jeszcze za czasów Rzymian, póżniej za panowania Turków, którzy zajmowali Budę od 1526 do 1697 roku; i dziś jeszcze jeden budynek kąpielowy nosi nazwę łaźni „tureckich".

Wyspa Małgorzaty (Margarethen Insel) jest prawdziwem cackiem. Należy do arcyks. Albrechta, który wydał miliony na jej upiększenie. Pokryta cała prześlicznym parkiem, ozdobiona kwiatami, posiada ładne wille, wynajmowane na letni pobyt, i wspaniały gmach kąpielowy. Równie pysznych łazienek nie zdarzyło mi się widzieć nigdzie: jest tu olbrzymi pałac w stylu maurytańskim, a wewnątrz, wokoło wysokiej trzypiętrowej sali, zdobnej w kolumny, marmury i zwierciadła, znajduja się pokoiki z marmurowemi i porcelanowemi wannami. Czystość i porządek wzorowe. Z jednego końca dość długiej wyspy na drugi prowadzi kolej konna; są dwie restauracye i cały dzień grywa tu muzyka. Wszystko tu czyste, porządne, wymuskane, ciągle czyszczone i gracowane, a jednak coś w tem wszystkiem dla nas jest sztywnego i niemiłego, może wskutek uprzedzenia, że to nieswojskie, obce.

O Starej Budzie (Alt Ofen) niewiele jest do powiedzenia. Jest to odległe przedmieście Budy, zaludnione przez Niemców, mające pozór naszych miast pomniejszych. Na pagórkach wkoło znaj-

dują się winnice, rodzące wyborne wino budyńskie (Ofener).

Przy wyjeździe z Pesztu, niemile razi cudzoziemca lekceważenie, okazywane przez zarząd drogi żelaznej. Olbrzymi dworzec oświetlony słabo, sale pasażerskie zamknięte aż prawie do chwili odejścia pociągu, przybywającym podróżnym wskazują restauracyą, gdzie, oczywiscie, trzeba coś zjeść lub wypić. Zapewne to dla zapewnienia większego dochodu restauratorom, panuje tu taki porządek; gdzieindziej bowiem sale pasażerskie są zawsze otwarte i nieraz podróżni spędzają w nich po kilka godzin.

Z Pesztu do Presburga jedzie się koleją żelazną sześć godzin. Miejscowość dosyć jednostajna i smutna. Preszburg (po węgiersku Pozsony, po słowacku Požun), dawna stolica Węgier, jest dziś miastem niewielkiem (45 tysięcy mieszkańców) i porządnem; pobyt w niem przyjemny i niedrogi. Dawniej odbywała się tu koronacya królów węgierskich, ale nie w kościele, lecz w polu za miastem: był tam także ów pagórek historyczny, na który wjechawszy konno nowo ukoronowany król węgierski, wywijał mieczem na wszystkie cztery strony świata.

Obecnie pagórek ten już nie istnieje; rozrzucono go, gdyż koronacya Franciszka Józefa odbywała się już w Peszcie. Na miejscu pagórka urządzono niewielki skwer; znajduje się on nad Dunajem, naprzeciwko mostu i przystani statków parowych. Za mostem, przy drugim brzegu Dunaju leży wysepka zwana Au, pokryta pięknym lasem i służąca mieszkańcom Preszburga za miejsce spacerów. Zdala na widnokręgu sinieją ostatnie odnogi Karpat.

Preszburg ma ludność przeważnie niemiecką, która, zarówno jak Słowianie, uskarża się też głośno na rząd węgierski, za nieposzanowanie języka. Miejscowe wino jest wyborne i tanie: kwarta czerwonego wina stołowego (lepszego nierównie od tych, win które kupujemy u siebie pod nazwą francuzkich) kosztuje tu 25 centów (40 groszy). Wszyscy też piją tu wino, a piwo mniej jest używane.

Z Preszburga do Wiednia jest tylko 3 godziny jazdy koleją. Ta sama droga aż do Gänserndorfu, odległego o ½ godziny od Wiednia, prowadzi i do Krakowa; w Gärnsendorfie wsiada się na pociąg, dążący z Wiednia do starego naszego grodu podwawelskiego.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ „Kuryer Warszawski” podaje do wiadomości piękny czyn, który złotemi literami wypisaćby warto. „Przed rokiem, znany obywatel Warszawski, p. K. P., nabył na własność rozległe dobra położone w powiecie Żytomierskim. Część gruntów zostawała w czynszowem posiadaniu osadników, składających się przeważnie z drobnej szlachty, a którzy mieli wydzielone tak małe przestrzenie ziemi, iż skutkiem niedostatecznych z niej dochodów, nie byli w stanie uiszczać przypadającej należności i zalegli w opłatach na poważną sumę około 50,000 rs. Zbadawszy położenie ich p. K. Sz. darował im całą zaległość, wydzielił daleko większą ilość gruntów, a opłatę z niego tak znacznie zmniejszył, że obecnie posiadając dwa razy więcej ziemi, opłacają mniejszy czynsz niż dawniej. Czterysta rodzin, zagrożonych ruiną i nędzą, błogosławi szlachetny postępek p. K. Sz., którym zaskarbił sobie ich przywiązanie i wdzięczność, zapewniając sobie zarazem piękną kartę w złotej księdze zasług obywatelskich.

+ Dnia 10 z. m. w Saint Quentin, we Francyi, odbyło się uroczyste odsłonięcie pomnika, wzniesionego na pamiątkę dzielnej obrony tego miasta, podczas wojny z Prusakami, w 1870 roku.

Gdy dnia 7 października t. r. nadeszła do Saint-Quentin wiadomość o zbliżaniu się nieprzyjaciół, miasto było nieufortyfikowane, a armii północnej wcale jeszcze nie było. Pozostawieni własnym siłom, mieszkańcy nie upadli jednak na duchu. Pod kierunkiem prefekta, Anatola de la Forge, wzniesiono na prędce barykady i zniszczono mosty. Do obrony barykad, de la Forge zorganizował pośpiesznie miejscowych gwardzistów narodowych, straż ogniową i wolnych strzelców; gdy nareszcie 9 października Prusacy uderzyli na bezbronne, jak mniemali, miasto, spotkali silny, nadspodziewany opór. Ożywieni gorącą miłością ojczyzny mieszkańcy, dzielnie odpierali ataki nieprzyjaciela, który po dwugodzinnej walce od miasta odstąpił.

Pomnik wzniesiony na pamiątkę tego pięknego czynu, wykonany został przez Barras'a. Oprócz pięknej grupy alegorycznej, złożonej z dwóch osób, zdobią go trzy medalionowe popiersia; jedno z nich przedstawia de la Forge'a. Taki człowiek wart pomnika!

+ Więzienie Newgate w Londynie, ten gmach historyczny, tak długo tak ważne zajmujący stanowisko w rocznikach Anglii, ma zostać zburzonym, wraz z niem zatrą się powoli wspomnienia jskie ponury jego widok przywodzi na pamięć. Budowle Newgate zostały wzniesione za panowania Henryka I. Przez wiek blizko gmach ten służył za więzienie Stanu; tu od r. 1218 wtrącani byli znakomici więźniowie. W dwa wieki później, sławny lord major Whittington, kazał go przebudować i posąg jego, z legendowym kotem na ręku, wznosił się po nad bramą jeszcze w 1666 r., w którym gmach cały stał się pastwą owego słynnego pożaru, pochłaniającego zarazem pomnik szczególniejszego tego edyla, który rozpoczął życie w przytułku dla biednych sierot, a następnie trzykrotnie obrany lordem-majorem, był wszechpotężnym władzcą City Londynu.

W całej Europie, z wyjątkiem może niektórych fortec niemieckich, nie znalazłby gmachu już zaraz z powierzchowności tak przerażająco strasznego, jak więzienie Newgate, którego ornamentacye stanowią kajdany, szubienice i powrozy. Jednakże budynek jaki widzimy obecnie jest prawie jakby tegoczesnym. Po zburzeniu starego i przebudowaniu go przez Whittington'a, Newgate raz jeszcze został przebudowany po pożarze Londynu. Architektem był sir Krzysztof Wren. Z tego więzienia uciekł Jakób Sheppard. W r. 1780 podczas zaburzeń, jakie lord Jerzy Gordon podniecił przeciw katolikom, burzyciele podpalili bramę więzienia, skutkiem czego wielu więźniów uciekło. Wtedy to Dance, najznakomitszy ówczesny budowniczy, ofiarował się wznieść *budynek*, z którego raz wszedłszy, nikt wyjść, a wyszedłszy wejść nie zdoła. Gdy plan ten przedstawił wielkiemu filantropowi, Howardowi, ten odrzucił go ze wstrętem, mówiąc: „To grób a nie więzienie”, tak straszne zrobiły na nim wrażenie te ciasne korytarze, nałeńkie nizkie celki, pozbawione światła, powietrza i wszelkiej komunikacyi. Mimo to przyjęto plan budowniczego i Newgate według niego zostsł zbudowany, wskutku czego, jak to przewidział zacny filantrop, stał się ogniskiem zaraźliwych chorób, które więcej jeszcze niż szubienica zabierały ofiar

Niepodobna wyliczać słynnych zbrodniarzy i wszystkich straconych tu na rusztowaniu, które aż do 1867 r. wznoszono zawsze naprzeciw fasady (obecnie barbarzyński zwyczaj publicznego tracenia zbrodniarzy i winowajców). Ostatnim poprowadzonym ztąd na rusztowanie więźniem był Michał Barrett, fenianin, stracony za to, iż chciał wysadzić w powietrze więzienie Cl rhemvell, w którem zamknięto kilku jego towarzyszy. Odtąd egzekucye odbywają się w obrębie Newgate i tamże straceni bywają chowani; pod kamiennemi płytami ciemnego korytarza prowadzącego z jednego na drugi dziedziniec, spoczywa niezliczony szereg najrozmaitszych zbrodniarzy.

+ Dnia 17 Maja r. p. nastąpi zupełne zaćmienie słońca, widzialne w całej Europie. Rozpocznie się o godzinie 5-ej minut 47 rano. W Wiedniu rozpocznie się o godzinie 7-ej minuta 1-na rano, a zatem w Warszawie pojawi się nieco wcześniej.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 24 Ноября 1881 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

DZIEDZICZKA.

PRZEZ

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Z drugiej strony i otchłań dzieląca małżeństwo, stawała się co raz głębszą. Od chwili gdy lady Seaforth poznała przeszłość męża, uznała że sprawa jej synów jest niemal nieochybnie zgubioną, i czuła że nic dla nich od lorda spodziewać się nie może. Co do lorda Seaforth, zdawało się iż pragnął aby żona odpokutowała za podejście, jakiego się względem niego dopuściła. W sercu obrażonej lady gwałtowna też nastąpiła reakcya, przywiązanie do męża zamieniło się w nienawiść. Teraz wszystko w nim raziło ją i zniechęcało: twarz tak surowa i zimna, przesadnie poważny sposób mówienia i sztywne obejście. Zapragnęła rozłączyć się z nim jak najprędzej i postanowiła odjechać do Londynu, pod pozorem odwiedzenia synów, którzy stanowczo osiedlili się w stolicy, od czasu zniweczenia jej planów co do ich przyszłości. Od owej chwili, Kolin i Andrzej nie postali w Seaforth; lady Seaforth mniemała że tem oddaleniem synów wzbudzi może wyrzuty sumienia w mężu.

Doszedłszy do pełnoletności, Kolin wszedł do Wydziału spraw zagranicznych; był to pierwszy krok w obranym zawodzie dyplomatycznym; nie mógł się jednak spodziewać, że w nim zrobi majątek i będzie mógł zostać deputowanym z pięknego okręgu Nairnshire; trzeba się było wyrzec pięknych projektów układanych przez matkę, i mała własność pozostała po ojcu, została nadal wydzierżawioną.

Andrzej został przyjęty do uniwersytetu i trwał w zamiarze zostania pastorem, pomimo, że w obecnych okolicznościach matka wolałaby aby sobie jakiś zyskowniejszy obrał zawód.

Tak więc lady Seaforth doskonale upozorowała swój wyjazd, ale i tym razem bardzo się omyliła, sądząc że oddaleniem swojem ukarze męża. Lord nie zauważył nawet nieobecności jej synów i nie zwracał uwagi na częstsze wyjazdy żony. Nie robił jej żadnych z tego powodu uwag, a na wszelkie podawane przez żonę powody, odpowiadał z przesadną dobrodusznością: „Moja droga, rób jak ci się podoba i jak ci najdogodniej."

W rzeczywistości nietylko oswoił się, ale nawet polubił swoje osamotnienie. Mógł swobodnie zatapiać się w rozmyślaniach, rozpatrywać troski i niepokoje jakie dręczyły go odnośnie do przyszłości synowca. Niekiedy ogarniały go najsmutniejsze przeczucia. Czyż podobna aby się tak pomylił co do charakteru Godfreda? Czyżby tenże pozaciągał znaczne długi i nie śmiał wyznać tego stryjowi?

Z co raz wzrastającym niepokojem oczekiwał nadejścia wakacyi. Niekiedy łudził się nadzieją że ukochany synowiec przyjedzie takim jakim go poznał, to jest, wesołym, ujmującym, z pogodnem czołem—ale jakże boleśnie został rozczarowanym, gdy młody student przybył więcej jeszcze ponury, zgnękany i milczący,—tak więc złe spotęgowało się jeszcze.

Twarz Godfreda przybrała wyraz najrozpaczliwszego zniechęcenia; unikał wszystkiego co tylko wymagało dłuższego ześrodkowania uwagi; cokolwiek działo się w koło niego, ani go zajmowało ani bawiło. Widocznie niepojęte jakieś troski zawładnęły jego umysłem. Nareszcie zdawało się lordowi że położenie to zaczyna się wyjaśniać, skoro dowiedział się od bankiera iż Godfred wybrał już 1500 funt. Uznał stosownem zawezwać synowca i upomnieć go o tak naganną rozrzutność.

Przypomniał mu że ma wyznaczone rocznie 2000 f. szt., a zaledwie uszło parę miesięcy, wybrał już 1500 f., i zapytał na co mógł wydać tak znaczną sumę? Godfred postanowił sobie niezłomnie nie tłómaczyć się wcale z tego co zrobił z pieniędzmi, a gdy stryj nalegał, odpowiedział z nietajoną niecierpliwością, że pensya wyznaczona mu, nie wystarcza na liczne jego wydatki.

Lord Seaforth zadrżał usłyszawszy Godfreda przemawiającego w ten sposób, gdyż temi samemi słowy odpowiadał kiedyś jego ojciec, sądził więc z przerażeniem że powtarza się smutna przeszłość. Ponieważ jednak postanowił okazać się jak najpobłażliwszym dla przybranego syna, zapytał go więc tylko czy nie dopuścił się jakiegoś wykroczenia, prosząc aby mu wyznał otwarcie, jeźli błędy młodości popchnęły go do nadmiernych wydatków.

Lecz daremnie przemawiał do jego serca i sumienia, daremnie prosił i przekładał, nie zdołał nakłonić synowca do żadnych wyznań. Godfred powtarzał tylko uparcie że wyznaczony dochód był dla niego najzupełniej niedostateczny.

Stryj tak daleko posunął się w ustępstwach, iż przyobiecał znacznie powiększyć dotychczasową pensyę, z warunkiem iż Godfred da mu słowo honoru, że do niej ograniczy swoje wydatki. Ale Godfred nie chciał wiązać się żadnem przyrzeczeniem.

To jego postępowanie zbudziło w umyśle lorda Seaforth najsmutniejsze podejrzenia; to też zwracając się do synowca, rzekł poważnie:

— Nie chcę okazać się za surowym dla ciebie, ale nie mogę nie zwracać uwagi na twoje postępowanie i nie udzielić pewnych przestróg, gdyż całe życie wyrzucałbym sobie podobne niedbalstwo. Będąc na mojem miejscu, wielu ojców w podobnem położeniu odebrałoby synom wyznaczoną pensyę, pozbawiając ich zarazem swego zaufania, ale ja nie mogę bez najgłębszej boleści zwątpić o twojej prawości i szczerości. I dla tego pragnę zapomnieć o wszystkiem co zaszło i nie będę zadawać ci niepotrzebnych pytań—pamiętaj tylko żeby nic podobnego nie ponowiło się więcej. Nie zapominaj co powiedziałem i zastosuj się do tego.

Godfred podziękował obojętnie stryjowi, ale nie okazał aby ta szlachetność jego wzruszyła go cokolwiek, i odszedł z równie zasępionem czołem. Znać było że tajemne jakieś cierpienia i troski nie przestają go dręczyć.

Obojętność i oziembłość z jaką Godfred przyjmował uwagi i przełożenia jego, nader boleśnie dotknęły lorda Seaforth. Więc w sercu synowca nie tlała dla niego najlżejsza nawet iskierka przywiązania, pomimo że on ukochał go całą mocą swej duszy! Ciężka to boleść gdy się przekonywamy że gorące uczucie nasze odpłacają tak czarną niewdzięcznością. Czegożby nie dał w tej chwili, gdyby mógł synowca przycisnąć do serca, i zawołać z Dawidem: „Boże! dozwól mi zawsze cierpieć za niego!" Daremnie! całe obejście Godfreda dowodziło nietylko zupełnego braku przywiązania, ale pewnego zniecierpliwienia i tajemnej żądzy oporu która łagodne przedstawienia stryja, raczej podniecały niż przytłumiały.

XII.

Burza wybucha.

I znowu upłynęło sześć miesięcy, bez sprowadzenia widocznej zmiany w położeniu Godfreda. Pomimo powiększonego dochodu, zawsze mu brakło pieniędzy i zawsze jednako milczał uparcie, na co obracał tak znaczne stosunkowo summy.

Stryj oczekiwał cierpliwie aby młody jego spadkobierca skończył uniwersytet, gdyż postanowił sobie iż jak tylko powróci do Seaforth, zniewoli go do szczerych wyznań i cofnie wyznaczoną pensyę jeżliby nie chciał powrócić na dobrą drogę. Po przyjeździe synowca, prosił go aby nie nadużywał jego cierpliwości i nie zmuszał uciekać się do ostatecznych środków.

Godfred pozostał głuchym na prośby i przełożenia.

— Może pieniędzmi temi dopomagasz ojcu? zapytał lord nagłą uderzony myślą, której chwycił się jak deszczki ocalenia. Jakże przykrego doznał zawodu gdy Godfred odpowiedział kategorycznie:

— Nie, nigdy ojcu nie posyłam pieniędzy.

— Godfredzie! zawołał wtenczas stryj prawie błagającym głosem, może przegrałeś znaczną sumę zakładając się na wyścigach? Powiedz mi tylko prawdę, wyznaj mi twe błędy młodości, przebaczę ci je i nigdy nie wspomnę nawet o nich; tylko zaklinam cię, bądź ze mną szczerym!

Godfred milczał ciągle.

— A więc słuchaj! odezwał się lord Seaforth. Gdyby nie ja, żyłbyś do tego czasu w ubóstwie i na wygnaniu; mnie jedynie zawdzięczasz że zajmujesz stanowisko którego ci wszyscy zazdroszczą. Uczyniłem wszystko co było w mej mocy aby ci zapewnić najświetniejszą przyszłość, ale teraz oświadczam ci uroczyście że jeżeli nie wyznasz mi prawdy, cofnę to wszystko co uczyniłem dla ciebie. Nie chcę otaczać moją opieką marnotrawcy i pobłażliwością moją zachęcać go do nowych szaleństw, a wiesz że gdy się odsunę od ciebie, nie zdołasz nic uczynić i nie dojdziesz do niczego! Mam dopiero czterdzieści dziewięć lat, jakkolwiek wydaję się starszym, i prawdopodobnie zestarzejesz się prawie, zanim obejmiesz po mnie spadek, a nim to nastąpi, pozostawię cię zupełnie twemu losowi.

Nawet i te groźby nie przerwały milczenia Godfreda i nie chciał się związać żadną obietnicą.

— Więc nie obchodzi cię nawet twoja przyszłość! zawołał lord Seaforth oburzony. Nie masz więc ani iskierki rodzinnej dumy, ani najmniejszego przywiązania do tej prawdziwie książęcej posiadłości, i nie troszczysz się o honor nazwiska, przekazanego ci bez skazy przez tak długi szereg przodków twoich?

— Tak, odpowiedział Godfred; wszakże urodziłem się i wzrosłem w ubóstwie. Ja i moje siostry

dzięki tobie stryju, jesteśmy gałązkami oderwanemi od rodzinnego drzewa, zupełnie mu już obcemi i skazanemi na wygnanie, bo wszakże nie z własnej woli opuściliśmy naszą ojczyznę. Tak, nie troszczę się ani o nazwisko ani też o te rozległe dobra; tak jedno jak drugie nie ma dla mnie żadnej wartości.

Te ostatnie słowa zadały straszliwy cios lordowi Seaforth. O! jakże był srodze ukarany za swe zbyt surowe postępowanie z bratem, które mu obecnie wyrzucał synowiec. Tak, Godfred wygnany na zawsze z rodzinnego domu, był teraz pomszczony!

— Stryju Haroldzie! zawołał po chwili Godfred, skasuj wszystkie twoje względem mnie zobowiązania i wydziedzicz mnie na korzyść twego prawnego spadkobiercy.

— Mego prawnego spadkobiercy! zawołał lord Seaforth.

— Tak, odpowiedział z żywością Godfred; mówię o twej córce! Ona powinna odziedziczyć po tobie rodzinne dobra; w jej ręku nie grozi im żadne niebezpieczeństwo.

Lord Seaforth spojrzał na niego z głębokiem zadziwieniem, a następnie odezwał się z goryczą i oburzeniem:

— Zgaduję teraz o co ci idzie; pragniesz tylko mieć pieniądze, i chcesz mnie zmusić abym ci wyznaczył znaczniejsze dochody, dozwalające ci popełniać co raz to nowe szaleństwa i wykroczenia. Jesteś prawdziwym marnotrawcą i zepsutym już do tego stopnia, że nie wahasz się poświęcić przyszłości dla teraźniejszości, i chciałbyś, idąc za przykładem Ezawa, sprzedać czekający cię spadek za misę soczewicy.

— Bynajmniej, milordzie, odpowiedział Godfred; bardzo mylnie tłomaczysz sobie moje zamiary. Nie wymagam nic wcale i zrzekam się zupełnie wszelkich moich praw i pretensyi. Uznaj twą córkę za twą przyszłą spadkobierczynię, a mnie pozostaw memu losowi, i nie troszcz się więcej o mnie.

Lord Seaforth zwrócił na synowca prawie dzikie spojrzenie.

— Nie dbasz więc ani o dziedzictwo ani o rodzinę! zawołał z goryczą, ale cóż się stało z tą szlachetną ambicyą, która cię dawniej ożywiała? Na co zamierzasz używać tych darów umysłu i talentów, któremi natura obdarzyła cię tak hojnie? Czy wyrzeczesz się na zawsze użytecznej i świetnej karyery, którą sobie obrałeś, czy porzucisz życie publiczne i polityczne, które cię dawniej tak żywo zajmowało i do którego jesteś stworzonym? Bez majątku i poparcia nie zdołasz dojść do niczego. Jakiż rząd chciałby przyjąć reprezentanta mającego opinię marnotrawcy i szulera? ja zaś, w takim razie, nie przyszedłbym ci z pomocą nawet gdybyś doszedł do nędzy. Tak, przysięgam ci, że postąpię tak, pomimo że na samą myśl o tem, serce mi się kraje.

Lord Seaforth nie wiedząc o tem, poruszył czułą stronę. Godfred nie mógł ukryć bolesnego wzruszenia, jakiem przejęła go myśl że będzie musiał wyrzec się na zawsze nadziei pozyskania sławy, że jego piękne marzenia nie ziszczą się nigdy; pomimo to jednak milczał uparcie:

Lord Seaforth odezwał się znów po chwili milczenia już nie groźnym, ale prawie błagającym tonem:

— Czy mam już stanowczo wyrzec się nadziei otrzymania od ciebie szczerego wyznania?

— Tak, odpowiedział Godfred.

— Stało się, rzekł lord Seaforth, nie pozostaje mi już nic więcej jak tylko pozostawić cię losowi; bo czegoż można spodziewać się od człowieka głuchego na głos honoru, nierozumiejącego nawet co mu nakazuje wdzięczność, niezdolnego ocenić prawdziwego przywiązania? Jeden mi już tylko pozostaje sposób, mówił dalej; wiem że kochasz matkę, może więc potrafi dokonać to co mnie się nie powiodło. Napiszę do niej, zawezwę aby przyjechała tu jak najśpieszniej.

— O! nie, nie! zawołał Godfred, rzucając się na kolana przed stryjem. Miej litość nad moją matką, uchroń ją od tak strasznego cierpienia, od takiego wstydu! Lordzie Seaforth, błagam cię, miej litość nad nią i nad samym sobą!

Tak stryj jak synowiec byli wzruszeni do najwyższego stopnia, ale lord Seaforth sądził że znalazł wreszcie drogę, która doprowadzi go do celu, i nie chciał się cofnąć.

— Nie, odpowiedział stanowczym tonem, wszystko cokolwiek mógłbyś mi powiedzieć, nie zdoła zmienić mego postanowienia.

XIII.

Zawiedziona nadzieja.

W kilka dni po opisanych powyżej wypadkach, lord Seaforth siedział znów w tymże samym pokoju, w którym cztery lata temu, powitał swego synowca. Obecnie oczekiwał na jego matkę, której przybycia spodziewał się lada chwila.

Już upłynęło dwadzieścia cztery lat od owej chwili, w której ostatni raz widział bratowę, i łatwo zrozumieć że uczucia jego dla niej musiały uledz zmianie, w tak długim przeciągu czasu. Estera nie jest już dla niego tem, czem była dawniej; wzywając ją, myślał tylko o tem, że jedynie przy jej pomocy, może dowiedzieć się czegoś pewnego o postępowaniu Godfreda.

Pomimo to, każde zbliżające się kroki przyśpieszały uderzenia serca lorda Seaforth, i zadrżał lekko, gdy nakoniec drzwi się otworzyły, i gdy ujrzał w nich kobietę, którą niegdyś kochał tak namiętnie, i której zachwycająca twarzyczka wyryła się na zawsze w jego sercu i pamięci.

W tej chwili wszystkie słodkie, a zarazem smutne wspomnienia zbudziły się nagle w myśli lorda Seaforth, ale Estera nie zdawała się wcale wzruszoną; spojrzała tylko przelotnie na brata męża, i zaczęła szukać oczyma tego, którego tak gorąco widzieć pragnęła. Zapominała zupełnie o przeszłości, i jedynie miłość macierzyńska przyśpiesza uderzenia jej serca.

Lord Seaforth czuł że tak być musi, a jednak drażniło go to i prawie gniewało, choć nie okazał tego. Wstał śpiesznie i powitał Esterę uprzejmie i z uszanowaniem, a następnie przysunął jej fotel do kominka. Gdy usiadła, podziękował jej że przybyła na jego wezwanie, i prosił aby odpoczęła i posiliła się trochę, zanim dotkną przykrego przedmiotu, który spowodował jej przybycie do Seaforth.

— Tak dawno już nie widziałam Godfreda! tak niedostateczne mam o nim wiadomości! zawołała Estera: ale, dodała podnosząc dumnie głowę, pokładam w nim nieograniczoną ufność, której nic osłabić nie zdoła.

Ta stanowczość z którą Estera występowała w obronie syna, wzruszyła lorda Seaforth, który też starał się najprzód usprawiedliwić swą pozorną surowość względem Godfreda, i upewnić ją co do swego z nim postępowania.

Było coś tak serdecznego w sposobie wyrażenia się jego o synowcu, że Estera słuchała go z rozrzewnieniem.

— Nie mam syna, jak ci wiadomo, ale śmiało mógłbym przysiądz że nawet własnego dziecka nie podobnaby mi było kochać więcej jak kocham Godfreda.

Łzy wdzięczności zwilżyły oczy Estery, uszczęśliwionej tem że ukochany jej syn został oceniony stosownie do swej rzeczywistej wartości.

— Niech cię Bóg błogosławi, Haroldzie! za tak pocieszające dla mnie słowa, rzekła biedna matka, uwolniona już w części od dręczącej ją obawy.

Takie to okoliczności zbliżyły znów do siebie osoby tak dawno rozłączone, a których uczucia zwracały się teraz do jednego i tegoż samego przedmiotu.

Lord Seaforth opowiedział następnie wszystkie szczegóły znane już czytelnikom naszym, a gdy skończył, Estera zawołała powstając z żywością:

— Tak, masz słuszność, muszę jak najśpieszniej widzieć się z Godfredem. Nie wątpię że się to wszystko wyjaśni, byleby tylko mogła pomówić z nim swobodnie.

Lord Seaforth sam zaprowadził bratowę do pokoju Godfreda.

— Powiedz mi, Haroldzie, pytała Estera idąc obok niego, czy Godfred urosł, czy zawsze równie piękny jak dawniej?

— Tak, odpowiedział, bardzo piękny i wyższy ode mnie.

Estera szła drżąca i wzruszona przez korytarz prowadzący do gabinetu syna, a gdy już była przy drzwiach, zatrzymała się chwilę.

Ogarnął ją jakiś niepokój; wszakże miała zobaczyć nie siedmnastoletniego chłopca, ale młodzieńca liczącego lat dwadzieścia dwa. „Już cztery lata upłynęło od naszego rozłączenia, pomyślała, czy go powitam takim jak go pożegnałam? Czy nie stałam się prawie obcą dla niego? Jak mnie przyjmie wśród tych nowych i smutnych okoliczności?

— Pozostaw nas samych, Haroldzie, rzekła zwracając się do lorda. Chcę pomówić sama z moim synem. Nikt nie może być świadkiem naszej rozmowy.

Lord Seaforth stosując się do życzenia bratowej, otworzył tylko drzwi do połowy i cofnął się na korytarz.

— Godfredzie! mój ukochany synu! mój najdroższy skarbie! zawołała Estera wbiegając do pokoju.

Nikt nie odpowiedział na ten okrzyk wydzierający się z piersi kochającej matki.

Lord Seaforth zaniepokojony tem milczeniem, zawrócił się i wskazał Esterze drzwi do sypialnego pokoju, sądząc że Godfred w nim się znajduje. Estera pobiegła tam natychmiast i weszli do niego razem, lecz niestety! pokój był pusty! Panowało w nim głuche milczenie przerywane tylko bolesnem łkaniem zrozpaczonej matki! Wszędzie panował nieład, łóżko było nieporuszone. Widocznie Godfred uciekł chcąc uchronić się od nalegań stryja, próśb i łez matki.

XIV.

Małżonkowie.

Lady Seaforth bawiła już kilka tygodni w Londynie i postanowiła nakoniec wrócić do męża, ale list w którym donosiła mu o swym powrocie, przyszedł do zamku dopiero na drugi dzień po opisanych przez nas wypadkach, lord Seaforth nie czytał go więc wcale, i skoro wróciła do Seaforth nie zastała w nim nikogo.

Duma lady znalazła się wtenczas w bardzo przykrem położeniu w obec służących uwiadomionych o wypadkach nieznanych jej wcale. Zdrowy rozsądek nakazywał jej nie zadawać im żadnych py-

tań, ale nie zdołała powstrzymać się od dość zresztą usprawiedliwionej ciekawości. Dowiedziała się więc z największem zdumieniem, że lord Seaforth wyjechał rano do Folkeston wraz z bratową, która miała tam wsiąść na statek, i że pani Seaforth bawiła już cztery dni w zamku, gdy ją zawezwano aby spiesznie wracała do domu.

Ciekawość Heleny została wkrótce zupełnie zadowolnioną; dowiedziała się łatwo wszystkiego co pragnęła wiedzieć. Zresztą już w całej wsi wiedziano, że przyszły dziedzic uciekł gdzieś w nocy, i że pomimo gorliwych poszukiwań samego nawet milorda, niepodobna było dowiedzieć się, w którą się zwrócił stronę.

— Ten wypadek sprawił na milordzie nader przykre i silne wrażenie, dodał kamerdyner, a co do biednej matki, ta zdawała mi się, w chwili wyjazdu, na pół martwą.

W pierwszej chwili wiadomość o ucieczce Godfreda wzbudziła tylko w sercu lady Seaforth uczucie tryumfu i radości; wkrótce jednak przyłączyła się do tego głęboka niechęć do męża, który ukrywając wszystko przed nią, narażał ją na takie upokorzenie w obec służących.

Nie mógł to być dla niego niespodziewany wypadek, skoro miał czas przywołać na pomoc bratowej!

Skoro kamerdyner ukończył opowiadanie, Helena oddaliła się spiesznie, nie chcąc aby mógł wyczytać z jej twarzy co się działo w jej sercu, i uniesiona szalonym gniewem, wbiegła do swego budoaru przygryzając usta i złorzecząc mężowi.

Koło wieczora usłyszała turkot zbliżającego się powozu. Wyjrzała oknem, i widok męża wchodzącego na perron, rozjątrzył ją więcej jeszcze. Powiedziała sobie, że powinna rozmówić się z nim stanowczo, żądać aby wytłómaczył się ze swego z nią postępowania, choćby to miało doprowadzić do jawnego zerwania stosunków między nią i Haroldem. Będzie to zresztą, w każdym razie, ostatnie z nim widzenie, gdyż postanowiła już niezmiennie wrócić natychmiast do Londynu i nie pozostać nawet jednej godziny pod jego dachem. Zadzwoniła i kazała powiedzieć furmanowi, aby nie odjeżdżał i czekał na jej rozkazy; potem przebiegła szybko korytarz i zapukała gwałtownie do biblioteki.

Lord Seaforth wrócił do siebie pogrążony w głębokim smutku, przygnębiony fizycznie i moralnie. Niepodobna mu było łudzić się dłużej; Godfred musiał rzeczywiście popełnić jakieś ciężkie przewinienie, i nie śmiejąc matce spojrzeć w oczy, postanowił ucieczką ratować się od wstydu. Nie można już było pokładać w nim nadziei, i nie pozostawało nic jak tylko zapomnieć o nim, pozostawić go jego losowi, starać się wymazać z pamięci nawet wspomnienie o nim. Biedny lord Seaforth, gdy siedział w swym fotelu przed kominkiem blady, z drżącemi rękami i oczyma pełnemi łez gorzkich, zasługiwał prędzej na współczucie niżeli na gorzkie wymówki.

Był to dla niego najboleśniejszy cios z tych wszystkich jakie spotkały go dotąd; musiał w tej chwili wyrzec się wszystkich swych nadziei, pogrzebać wszystkie swe najdroższe marzenia, czuł że serce jego poniosło teraz cięższą jeszcze ranę niż ta, którą mu zadał kiedyś brat jego, wydzierając mu ideał jego młodości.

Esterę znał i kochał zaledwie kilka miesięcy, gdy tymczasem Godfred był jego przybranym synem, celem wszystkich jego myśli i wszystkich jego uczuć. Trudno byłoby nawet wyobrazić sobie jak dalece czuł się teraz osamotnionym, jak gorzki smutek napełniał jego serce.

Zechciej się zastanowić trochę lady Seaforth, rozważ, że masz teraz najlepszą sposobność zdobycia tego przywiązania i tego wpływu o który ubiegałaś się dotąd napróżno.

Nienawistny ci współzawodnik ustąpił z placu, stracił cały urok w oczach twego męża, który teraz smutny, cierpiący, przygnębiony, tak bardzo potrzebuje pociechy. Zbliż się do niego łagodnie, proś aby ci przebaczył twój podstęp, proś, aby był pobłażliwym dla matki, której wina pochodziła jedynie z głębokiego przywiązania do dzieci, a zobaczysz jak się wypogodzi to chmurami obciążone czoło, jak łagodnie spojrzą na ciebie te oczy, których wyraz był dotąd tak chłodny i surowy, jak miły uśmiech ukaże się na ustach; podbijesz to harde serce, zdobędziesz zaufanie męża napozór tak zimnego i obojętnego.

Lecz zamiast łagodnej i współczującej z nim żony, lord Seaforth ujrzał przed sobą kobietę zostającą pod wpływem szalonego rozjątrzenia, która bez względu na jego boleść, zaczęła mu czynić najdotkliwsze wyrzuty, która nie wahała się powiększać jeszcze jego cierpienia, przypominając mu że ona zaraz od początku dostrzegała oznaki najgorszych skłonności w jego synowcu. Wiedziała, że mówiąc to, zakrwawia serce męża, a jednak nie powstrzymało jej to wcale. a nie dość na tem, zaczęła mu jeszcze przypominać dzieje ich wspólnego życia, wyrzucać wszelkie jego względem niej uchybienia; oskarżała go o brak należnych dla niej względów, obojętność, brak serca, nawet o srogie i okrutne z nią postępowanie. Zakończyła oświadczeniem, że nie pozostanie już ani na jedną godzinę w jego domu, gdzie zamiast należnego jej szacunku, znajduje tylko co raz nowe upokorzenia. Słowem wszystkie gorzkie uczucia które tak długo ukrywała w sercu, wypłynęły teraz przez jej usta jak potok burzą wezbrany, zapomniała nawet o najprostszej grzeczności i poniżyła się w oczach męża.

Skoro wypowiedziała już wszystko co jej tylko złość i nienawiść nasuwała na usta, wybiegła z biblioteki z twarzą pałającą z gniewu, chcąc wsiąść natychmiast do powozu, czekającego ciągle na nią. Dopiero gdy zobaczyła służących czekających na rozkazy w przedpokoju, przypomniała sobie że przez wzgląd na swą osobistą godność powinna zapanować nad sobą. Przybrała natychmiast postawę dumną i obojętną, i wsiadając do powozu, uwiadomiła spokojnie służącego gdzie ma jechać

Powóz ruszył i turkot kół zamącił znów wieczorną ciszę. W pewnej odległości od pałacu, spuściła szybę i rzuciła ostatnie spojrzenie na ten dom, który opuszczała na zawsze.

Stary i wielki zamek przybierał wśród cieniów nocy jakieś fantastyczne kształty: żadne okno nie było oświetlone z tej strony, nigdzie nie można było dostrzedz śladu ruchu i życia. Łzy popłynęły z oczu lady Seaforth, gdy pomyślała o spędzonych tam latach życia, o swych zniweczonych nadziejach i wszelkich zawodach jakie ją spotkały.

Jakaż to rażąca sprzeczność między obecną chwilą a owym dniem, w którym dumna i rozpromieniona, przeszła po raz pierwszy progi tego wspaniałego gmachu, tworząc co do przyszłości synów najświetniejsze zamiary.

Jakaż to zmiana zaszła w tym domu, gdzie dawniej wrzało życie, gdzie odbywały się tak huczne i świetne zabawy, a dziś stoi ponury i milczący jakby stał pustkami.

Jednocześnie jakiś niepokój opanował serce lady Seaforth; to głos sumienia zaczynał jej wyrzucać jej szalone uniesienie i porzucenie męża. Ale czemuż przypisać tę nagłą zmianę, ten żal przychodzący zapóźno, niestety? W pokoju córki zabłysło nagle słabe światełko, a jednocześnie przed oczyma lady Seaforth stanęła blada i smętna twarzyczka biednej, opuszczonej Joanny.

XV.

Opuszczeni.

Odjazd żony nie zrobił na lordzie Seaforth żadnego wrażenia. Nie żądali wcale separacyi, ale ułożyli się między sobą że na przyszłość lady Seaforth będzie mieszkać w Londynie, mąż zaś, jak dotąd, pozostanie w swych dobrach.

Lord Seaforth starał się otrząsnąć ze smutku, usiłował zatrzeć w myśli nawet wspomnienie niemiłej mu przeszłości; nie chciał już myśléć ani o żonie, ani o jej synach, ani nawet o swym dawniej tak mu drogim synowcu; tak, chciał zapomnieć o wszystkiem co w jakibądź sposób łączyło się z ostatniemi szesnastu latami jego istnienia, i rozpocząć nowe, zupełnie odmienne życie. Ale jakie? Co ma teraz czynić? Rozmyślając nad tem, przypomniał sobie radę udzieloną mu przez synowca, i postanowił zwalić akt czyniący Godfreda jego spadkobiercą, i przekazać rodzinny majątek swej córce. Joanna, która tym sposobem będzie jedną z najświetniejszych partyi w Anglii, pójdzie zamąż, i może mieć syna, który odziedziczywszy po niej starożytne gniazdo Seaforth'ów wraz z ich nazwiskiem, przekaże je znów swemu synowi.

Harold wybrał już sobie zięcia, i jest pewny że przyjaciel jego lord Ainsboro, zezwoli chętnie na związek swego syna z Joanną. Tylko że te piękne projekta nie mogą spełnić się tak prędko. Trzeba czekać dopóki Godfred nie dojdzie do dwudziestu pięciu lat, a Joanna do ośmnastu; cierpliwość Harolda będzie wystawiona na ciężką próbę.

Pomimo tylu doznanych już zawodów, lord Seaforth, zamiast się ukorzyć przed wszechmocną wolą Boga, coraz silniej obstaje przy swojej, i coraz goręcej pragnie przeprowadzić swe własne zamiary. Możnaby sądzić że wola jego, jak ów bajeczny Feniks, odradza się coraz to niezłomniejsza ze swych własnych popiołów.

Lata i przebyte doświadczenia nie przyniosły zbawiennej nauki temu dumnemu człowiekowi, a bieg czasu uniósł go tylko trochę dalej od brzegu. Zaszła w nim ta jedynie zmiana że twarz jego pokryła się zmarszczkami, chód był mniej pewny, włosy pobielały zupełnie, a ręce drżały, słowem wszystko oznaczało przedwczesną zgrzybiałość.

Dumny lord jest teraz bardzo osamotniony w swym wspaniałym zamku, bo czemże jest dla niego biedna Joasia, której nie widuje prawie. A jednak jest zmuszony pokładać wszystkie swe nadzieje w tej córce, której urodzenie uważał zawsze za jeden z najcięższych zawodów jakie go spotkały w życiu.

Ale opuśćmy już ten wspaniały zamek i smutnych jego mieszkańców, a przenieśmy się tam gdzie nas czekają weselsze obrazy.

XVI.

W gaju oliwnym.

Ubiegło trzy lata od powyżej opisanych wypadków.

Młody Anglik przebiega pieszo okolice między Niceą i Monako. Ma lat dwadzieścia sześć, fizyognomię szczerą i miłą, jest bardzo przystojny, a oczy jego zdradzają charakter wesoły i bystrość

umysłu. Jest to nasz dawny znajomy, Kolin Fraser.

Dzień był bardzo gorący, i młody podróżny pragnął odpocząć gdzieś w cieniu. Nagle dosłyszał jakieś głosy w lasku, do którego się zbliżał. Zdjęty ciekawością, kto ukrywał się w tem tajemniczem schronieniu, zboczył na ścieżkę, która doprowadziła go do gaju oliwnego, gdzie przez gałęzie drzew dostrzegł mały domek.

Zaczął przysłuchiwać się uważnie i wkrótce usłyszał już wyraźnie dźwięczne i młode głosy rozmawiające po angielsku. Nie czekając dłużej, przedarł się przez gałęzie i wtenczas oczom jego przedstawił się widok, który miał na zawsze pozostać w jego pamięci.

Trzy młode panienki, widocznie Angielki, siedziały pod cieniem drzew oliwnych. Główki ich pokryte były malowniczemi kapeluszami nicejskiemi, chroniącemi ich śnieżnie białą i delikatną cerę od palących promieni słońca, nie zakrywając ich pięknych, a zarazem pełnych słodyczy i arystokratycznych twarzyczek.

Jedna z nich była zajęta jakąś robótką, druga czytała głośno książkę, a najmłodsza plotła gierlandy z polnych kwiatów.

Kolin zatrzymał się jakby olśniony tem co widział, nie wiedząc co ma podziwiać więcej, czy zachwycający krajobraz rozciągający się przed jego oczyma, czy też piękność swych rodaczek, które zdziwione jego nagłem ukazaniem się, patrzyły na niego nie mówiąc ani słowa. Kolin pierwszy odzyskał przytomność umysłu, i rzekł z pełnym uszanowania ukłonem:

— Panie zechcą wybaczyć, że ośmieliłem się przerwać ich samotność; pierwszy raz jestem w tych stronach, i sądziłem że spotkam tu tylko jakieś wieśniaczki zajęte pracą. Łatwo więc panie zrozumieją jak zostałem zdumiony znajdując damy i to jeszcze damy angielskie! Najmocniej panie przepraszam za moją pomyłkę, dodał nieśmiało.

W całej postawie młodych nieznajomych było coś takiego co dowodziło że musiały odebrać jak najlepsze wychowanie, i przypominały Kolinowi kogoś ze znanych mu osób.

Panienki ośmielone obejściem podróżnego cechującem prawdziwego gentlemana, spoglądały na niego z coraz żywszem zajęciem.

— Kto pan jesteś, i zkąd pan tu przyszedł? zapytała nieśmiało średnia z sióstr, Oliwia.

— Jestem Anglikiem, obecnie zaś przybywam z Monako.

— Cóż tu pana sprowadza i jakim sposobem odkrył pan nasz domek, tak dobrze ukryty przed wzrokiem ciekawych? pytała dalej Oliwia.

— Doprowadziły mnie tu dźwięki angielskiej mowy, odpowiedział podróżny.

— Ale wszakże pan sądził że znajdzie tu jakieś wieśniaczki, odezwała się z filuternym uśmiechem Oliwia. Niezbyt to dla nas pochlebna pomyłka, gdyż tutejsze kobiety mają głos szkaradny, i są gadatliwe jak sroki. Co do nas, Estera czytała nam głośno książkę.

— Cóż panie czytały? zapytał Kolin trochę zmieszany. Zapewnie jakąś sielankę? Nawet w Arkadyi nie możnaby znaleźć nic piękniejszego nad ten widok który mam przed oczyma. Może panna Estera zechce czytać dalej.

— Jakto! pan wie imię mej siostry, zawołała zdziwiona Oliwia; czy i moje także?

— Pani sama przed chwilą wymieniła imię panny Estery; imienia pani nie znam jeszcze, ale jeżeli pani zechce je powiedzieć, mogę zaręczyć że nie zapomnę go nigdy.

— Imię moje Oliwia, a dano mi je na pamiątkę tych naszych drzew ukochanych, rzekła obejmując rękami jeden z konarów stoletniego może drzewa oliwnego, nie domyślając się nawet jak była zachwycającą w tej postawie. — Najmłodszej naszej siostrze imię Wenecya.

— Oliwia! Wenecya! jakież to zachwycające i śliczne imiona, rzekł Kolin.

— Może pan powie nam także swoje, którego dotąd nie znamy, odezwała się najstarsza z sióstr, i uwiadomi nas co go sprowadza w te strony.

— Odbywam, to co my Anglicy nazywamy pieszą wycieczką, w celu poznania tej pięknej okolicy. Ale że już od kilku godzin jestem w drodze, czułem się trochę zmęczony, i szukałem jakiegoś ocienionego miejsca, w którem mógłbym trochę spocząć.

— Wybornie! zawołała Oliwia, ciekawość nasza została po części zaspokojoną, i odgaduję kim pan jesteś. Otóż, jest pan Żydem wiecznym tułaczem, którego tak wierny obraz skreślił Bradshaw. Nie potrzebuje pan mówić swego nazwiska! Nie będę pana nazywać inaczej, jak tylko: pan Żyd tułacz.

— Zgadzam się na to, rzekł Kolin śmiejąc się; jestem jednak gotów udzielić paniom wszelkich wiadomości co do siebie, i odpowiedzieć na wszelkie ich pytania.

— Przedewszystkiem niech pan usiądzie, rzekła Estera wskazując mu krzesło. Musi pan być bardzo zmęczony.

Kolin podziękował jej za uprzejme pozwolenie i usiadł.

— A teraz proszę nam powiedzieć jeszcze, zkąd pan tu przybył? zapytała znów Oliwia.

— Z Monako, odpowiedział Kolin.

— Tak, wiemy już o tem! ale zkąd pan tam przyjechał.

— Prosto z Berlina, gdzie zajmuję zaszczytną wprawdzie, ale niepłatną posadę w ambasadzie.

— Jakto! nic panu nie płacą! zawołała Oliwia.

— Nic, odpowiedział Kolin; ale wiedziałem że tak będzie, nie mogę więc mieć żalu do nikogo, prócz do siebie samego.

— O! w takim razie rzuciłabym natychmiast tę posadę w ambasadzie, rzekła Oliwia.

— Ubóstwo nie pozwala być wybrednym, mówił dalej Kolin swobodnym tonem, i w obecnym czasie, każdy Anglik znajdujący się w trudnem położeniu, przyjmie jakąbądź posadę, byle mógł mieć choć słabą nadzieję awansu.

— Więc i pan spodziewa się dostać później lepszą posadę?

— Tak, odpowiedział Kolin, pochlebiam sobie że kiedyś zostanę konsulem, ale jest to jedynie nadzieja i bardzo niepewna, niestety! Tymczasem zwiedzam Monako, i jak szaleniec przegrywam pieniądze w *rouge et noir*.

— Wszak pan mówił przed chwilą że jesteś ubogim.

— I tak jest rzeczywiście; tylko, nieszczęściem dla mnie, zostałem wychowany tak jakbym posiadał znaczny majątek, i dla tego też popełniłem już niejedną niedorzeczność. Tak trudno pozbyć się złych nawyknień, na które nie zwracano uwagi w pierwszych latach naszej młodości.

— Zapewnie pan mieszkał w Anglii przed objęciem posady w Berlinie? zapytała nieśmiało Estera.

— Tak, pani, ale urodziłem się w Szkocyi.

— Cóż pana sprowadziło w te strony? odezwała się znów Oliwia.

— Byłem zmuszony towarzyszyć ambasadorowi, który jest obecnie w Nicei.

— Cóż pan powie o Monako?

— Jest to najpiękniejsze, ale zarazem najniebezpieczniejsze miejsce w świecie, zawołał Kolin z żywością. Ale panie muszą znać Monako?

— Nie, odpowiedziała Oliwia, mama nie pozwoliła nam go zwiedzić.

— O! bardzo słusznie, ja sam pragnę najgoręcej opuścić to zgubne miejsce, i żałuję że mnie tam los sprowadził. Co prawda, jest w tem i moja wina że nie umiałem się powstrzymać od gry w karty; jest to rozrywka której powinienbym się wyrzec zupełnie, skoro nie mam na to dość pieniędzy.

— O! i my także nie jesteśmy bogate, rzekła Oliwia; już dawno nie sprawiałyśmy nowych sukien, a i kapelusze nosimy już przez kilka miesięcy. Dla tego też są tak przepalone od słońca, dodała zdejmując z głowy kapelusz nie różniący się niczem od używanych przez miejscowe wieśniaczki, w którym jednak było jej bardzo ładnie.

— Cóż to znaczy, Oliwio, że kapelusz przepalony, skoro cera twoja nic na tem nie ucierpiała, odezwała się Wenecya.

— O! nic, z pewnością, rzekł Kolin, ale nie pojmuję doprawdy jakim sposobem panie potrafiły się uchronić od wpływu palących promieni słońca, gdy wszystkie tutejsze wieśniaczki są tak strasznie opalone?

— Mama czuwa nad tem bardzo troskliwie, abyśmy nie stały się podobnemi do nich, odpowiedziała Wenecya.

— Czy wolno mi prosić, aby panie zechciały mnie przedstawić swej matce? zapytał Kolin.

— Mama dziś właśnie wyjechała do Nicei, co dla nas stanowi jakiś nadzwyczajny wypadek, gdyż nie wyjeżdża nigdy z domu. Powiedziała nam że wróci dopiero późnym wieczorem, i zaleciła abyśmy czuwały nad sobą wzajemnie.

— Może panie pozwolą, abym się przedstawił ich ojcu?

— Nie ma go także w domu, odpowiedziała po chwili milczenia Estera; ojciec nasz podróżuje ciągle... trudno go zastać...

Kolin czuł że byłoby niedelikatnie z jego strony pytać się o coś więcej, pomimo że pragnął dowiedzieć się jeszcze jakich szczegółów dotyczących swych pięknych rodaczek, i zbadać tajemnicę, która zdawała się otaczać ich ciche schronienie.

— Już późno, rzekł z westchnieniem spoglądając na zegarek. Jakże smutno oddalać się z tak rozkosznego jak ten raju, aby wrócić do tego prawdziwego piekła, nazywającego się Monako.

— Niech pan nie odchodzi jeszcze, zawołała z żywością Oliwia. Pociąg nie odejdzie nawet za godzinę.

— I zapewnie pan potrzebuje posilić się trochę po tak długiej i męczącej przechadzce, dodała Estera.

— Obawiałbym okazać się natrętnym, przedłużając moją tu bytność, rzekł Kolin powstając; tem więcej że panie są tu same, bez żadnej opieki, dodał zniżonym głosem.

— Bez czego? zapytała Oliwia, która nie dosłyszała dobrze ostatniego słowa.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 50.

(Dokończenie.)

N. 20. Lambrekina z haftem kolorowym.

Haftowana jest na materyi kolorowej, podłożonej pló-



N. 3. Kapotka i kołnierz z piórek.

tnem; górny szlaczek odznaczony potrójnie sznureczkiem złotym, składa się z kwiatków haftowanych kolorowym jedwabiem, łączonych szerokiemi łodyżkami. Ząbki lambrekiny oszyte złotemi pikotami; w hafcie zmieniają się naprzemian gwoździk i tulipan haftowane filozelą; brzegi listków odznaczone sznureczkiem złotym; środki zapełnione filozelą i nitką złotą.

N. 28—32 i ryc. 42. Suknia z przypinanym trenem. Patrz ryc. 46 w N-rze 49.

Krótka suknia przedstawiona na ryc. 42 jest z pluszu



N. 6. Kołnierz chusteczkowy marszczony.



N. 1. Berecik dla chłopczyka. N. 2. Kapelusik dla dziewczynki.



N. 5. Suknia z vêtement à panier. Patrz ryc. 25 tudzież ryc. 2 w N-rze 49.

i atlasu, zaś suknia z trenem jaką podaliśmy na ryc. 46 w N. 49, odrobiona jest z mory jedwabnej. Dół sukni na 54 cent. wzdłuż zajmują dwie plisowane falbany po 18 c. szerokie i bufowanie z nagłówkiem ośm razy przemarszczanym. Tunikę przykrojoną podług miar wskazanych na ryc. 31, upina się na sukni tak, aby część *a* brzegiem prostym długim przechodziła skośnie na przodzie sukni; brzeg zaokrąglony po sfałdowaniu przyszywa się do panier stanika. Prosta podłużna strona drugiej części *b* stanowi przedni brzeg, a druga podłużna strona sfałdowana aż do zaczęcia klina, tworzy tylny brzeg. Górny brzeg na 23 cent. przyczepia się na sukni, dalej zaś przypina skośnie na haftki pod przybraniem stanika. Bryt *c* po złożeniu fałd skraca się do 60 cent. i przyszywa na sukni; szarfa składa się z dwóch pukli po 67 cent. i z dwóch końców po 70 cent. długości; na węzeł potrzeba 20 cent. Na panier dodane przy bawetowym staniku, wzięty prosty kawałek atłasu 32 c. szeroki, u góry przemarszczony na 10 c. i przyszyty na sukni tuż przy brzegu stanika. Ryc. 28 przedstawia zwierzchnią, r. 29 spodnią stronę trenu, który wykończa się oddzielnie; r. 32



N. 4. Kapelusz okrągły pluszowy.

załącza krój i wymiar. Pod literą *a* dajemy formę trenu, zaś litera *b* oznacza bryt, który drapuje się z wierzchu i przypina do sukni pod wyższą falbaną, tren zaś przypięty jest niżej jak to objaśnia ryc. 30.

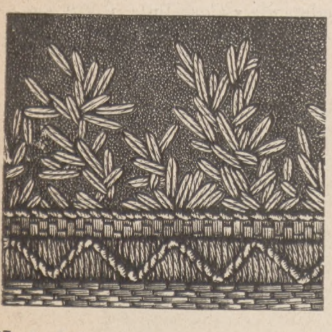
N. 33—35. Upięcia z kwiatów.

Ryc. 33 przedstawia ubranko z kwiatów dla starszej mężatki, stosowne przy ciężkiej jedwabnej sukni, złożone z cieniowanego maku vieil-or ze złotemi środeczkami



N. 7. Ubranie balowe z gorsecikowym atłasowym stanikiem.

i z kitki piórek rajskiego ptaka; na ryc. 34 widzimy gałązkę brzoskwiń, naśladowanych do złudzenia z aksamitu, z listkami pluszowemi. Upięcie z róż herbacianych, fijołków i niezapominajek, jakie widzimy no ryc. 35, odpowiednie jest do sukni balowej z tiulu, gazy lub tarlatanu dla młodej osoby.



N. 8. Szlaczek do serwety r. 10.



N. 10. Serwetka na mały stoliczek, haft z aplikacyą. Patrz ryc. 8—9 i 15.

N. 36 — 38. Ubrania na lekcye tańca.

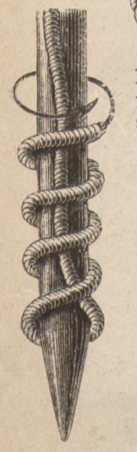
Sukienki te można odrobić z materyału wełnianego lub lekkiego, albo z materyi surah. Na gładko dopasowanej podszewce formą princesse (r. 36), ułożony jest fałdowany stanik; spódniczka złożona z trzech plisowanych falban; przy wykroju stanika szeroka fałdowana koronka; szarfa atłasowa. Sukienka (ryc. 37) przedstawia bluzkę odstającą bufiasto, spódniczkę fałdowaną z szeroką falbaną i tuniką à panier. Zamiast paska aksamitka związana w dużą kokardę. Stanik gorsecikowy aksamitny jaki widzimy na r. 38, dopełniony jest bluzką i rękawkami z mousseline des Indes; oryginalnie ułożona spódniczka składa się z dwóch szerokich buf, przedzielonych przemarszczeniem i z falbany ułożonej podług ryciny.



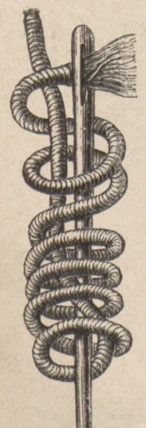
N. 11. Kwaścik do r. 10. Patrz r. 12-14.



N. 12. Pęczek węzłów huzarskich do r. 11.



N. 13. Nawijanie na węzeł huzarski do ryc. 11.



N. 14. Związanie węzła huzarskiego, do ryc. 11.

N. 39. Suknia z falbanami.

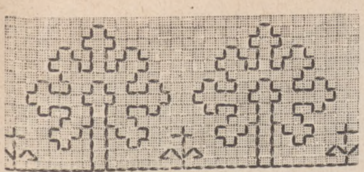
Suknia przedstawiona na r. 39, złożona z bluzki długiej i luźnej i ze spódniczki zagarnirowanej falbanami, wykończona była w sposób zupełnie nowy, gdyż falbany



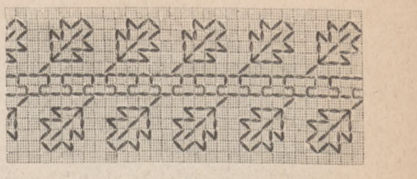
N. 9. Szlaczek do ryc. 10.



N. 15. Czwarta część wyszycia z aplikacyą, do serwetki ryc. 10.

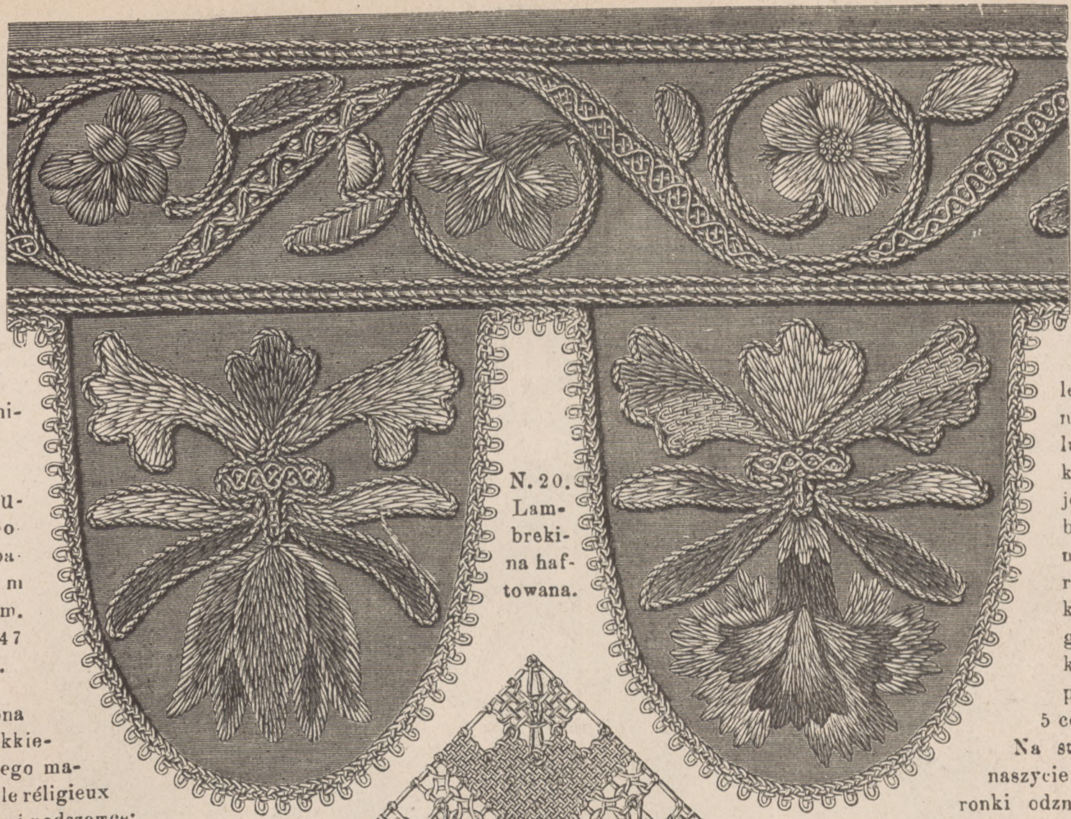


N. 16. Szlaczek do ryc. 18.



N. 17. Szlaczek do ryc. 18.

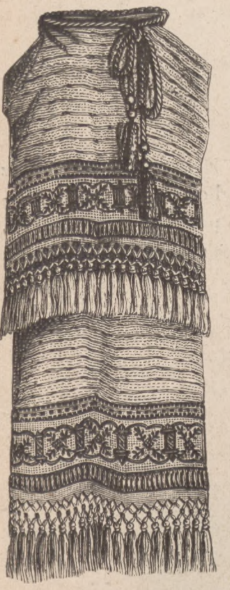
i bluzka z niebieskiej grenadyny, dane były na ponsowej podszewce przebijającej i mieniącej się oryginalnie. Luźne przody bluzki związane są szarfą ze wstążki; wzdłuż przodu sukni dany wachlarzowy garnirunek z koronki.



N. 20. Lambrekina haftowana.

N. 40. Suknia z podwójnym bawetowym paskiem. Patrz ryc. 47 w N. 49.

Odrobiona jest z miękkiego, cienkiego materyału voile réligieux na jedwabnej podszewce; wszywki 5 cent. szerokie i szlak 5 i 13 cent. szeroki, są z ażurowego szwajcarskiego haftu. Model ktory opisujemy był z blado-żółtej gazowej tkaniny i ciemno-wiśniowego pluszu na którym efektownie odbijały piękne złocone guziki i klamra do spięcia paska. Na dwie płasko sfałdowane bufy na przednim brycie materyał wzięty w jednym ciągu na 45 c. szeroki; draperya szalowa dana z kawałka 62 c. długiego. U góry nad draperyą widzimy paletotowe części, złożone z wszywek i pasów materyału, oszyte szlakiem haftowanym, z pod którego widać obłożenie pluszowe, przedłużone na staniku nakształt kamizelki. Upięcie na tylnym brycie sukni dane z bryta 160 cent. długiego 125 szerokiego. Stanik z przodu bawetowy z tyłu z baskiną fałdowaną, opasany jest rodzajem szarfy spiętej z tyłu podług bawetu, z boków zachodzącej pod pasek bawetowy z pluszu zapięty kokardą z agrafką.



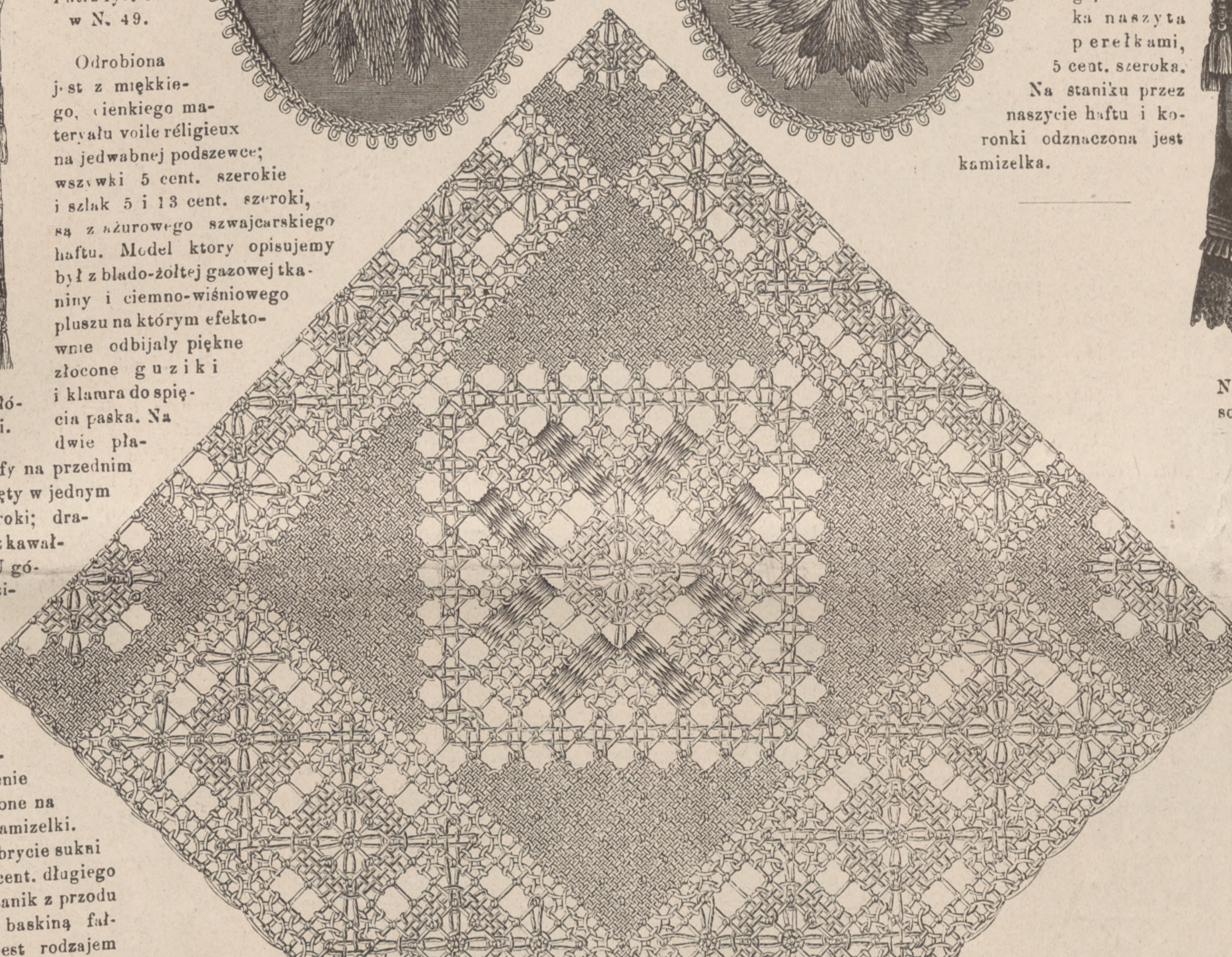
N. 18. Fartuszek płócienny ze szlakami.

N. 41. Suknia z haftowanemi szlakami.

Miejsce żółtawych koronek, jakie tak suto dawano przy sukniach letnich, zajęły hafty odrabiane na cieniutkim kaszmirze, czarnym jedwabiem lub ciemnemi kolorami. Przy sukni którą opisujemy dany był haft czarny 21 c. szeroki, z pod którego wygląda koronka naszyta perełkami, 5 cent. szeroka. Na staniku przez naszycie haftu i koronki odznaczona jest kamizelka.



N. 19. Fartuszek atłasowy z haftem maszynowym.



N. 21. Kwadrat z siatki gipiurowej.



N. 28. Tren przypinany do sukni ryc. 42. Patrz ryc. 29—32.



N. 29. Lewa strona trenu ryc. 28.



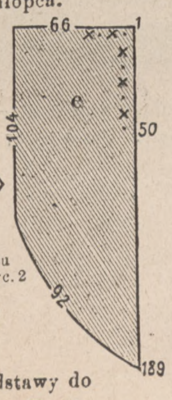
N. 24. Kapelusz z odwiniętem rondem.



N. 23. Kapelusz dla chłopca.



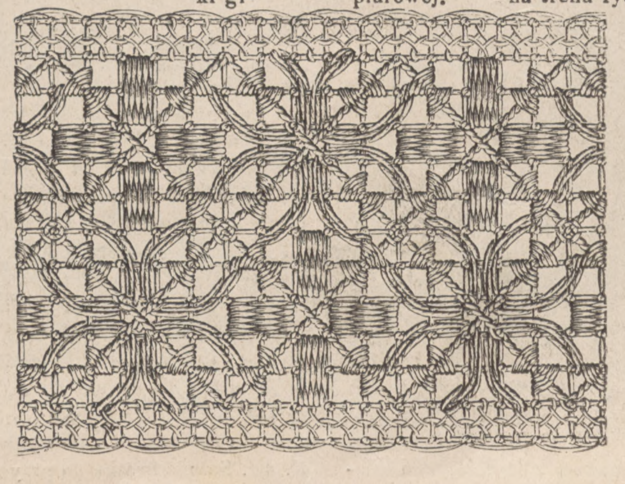
N. 25. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 5 i ryc. 2 w N-rze 49.



N. 27. Krój podstawy do czepeczka r. 36 w N. 49.



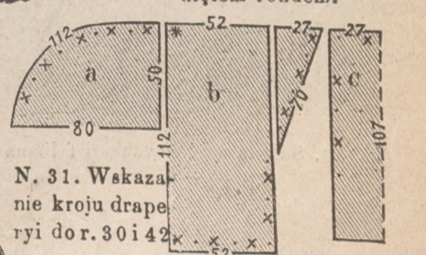
N. 26. Spódnica do r. 1 w N. 49.



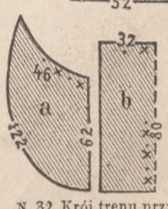
N. 22. Wszywka z siatki gipiurowej.



N. 30. Przypięcie trenu do sukni.



N. 31. Wskazanie kroju draperyi do r. 30 i 42.



N. 32. Krój trenu przypinanego ryc. 28—29.





N. 33. Ubranko z kwiatów maku i rozety z piór.

N. 34. Gałązka brzoskwiń.



N. 36—38. Ubrania na lekcye tańca.

N. 36. Sukienka z fałdowanym stanikiem. N. 37. Sukienka z bluzką. N. 38. Suknia z gorsecikowym stanikiem.



N. 35. Upięcie z róż herbacianych, niezapominajek i fijołków, do sukni balowej.



N. 39. Suknia z plisowanemi falbanami.



N. 41. Suknia z haftowanemi szlakami.

N. 42. Suknia krótka do przypinanego trenu. Patrz r. 28-32 i r. 46 w N. 49.



N. 40. Suknia z podwójnym bawetowym paskiem. Patrz r. 47 w N. 49.